

ZŁOTY RÓC
 ILUSTROWANY
 TYGODNIK
 LITERACKI ARTYSTYCZNY
 I SPOŁECZNY



REDAKCJA i
 ADMINISTRACJA
 WARSZAWA
 UL. KRÓLEWSKA 27
 TEL. 226-83 i 152-05.

N^o

WARSZAWA
 DNIA 2 LUTEGO 1913 R.

5

Nowoczesne teatry.

Panującym dotąd wszechwładnie typem architektury teatralnej są budynki na modłę włoską budowane według prototypu medjołańskiego „della Scala” i neapolitańskiego „Carlo Fenice”.

Te dworskie barokowe przeżytki zbudowane dla oper bezmyślnych i baletu a w głównym celu dla uświetnienia i dodania blasku dworskiemu życiu, gdy teatr był integralną częścią zamku, nadają się przepysznie do urządzania w ich szychem i stukiem przeładowanym wnętrzu, zabaw, igraszek i flirtów, lecz nie do odtwarzania w nich arcydzieł sztuki dramatycznej.

Dziwne, iż przyzwyczailiśmy się do roz-

szerzonego w całej Europie zła w tym stopniu, iż w tych pretensjonalnych królewsko-

mieszczańskich pałacykach nie odczuwamy wcale kolejno doznawanych przeciwieństw w uczuciowych stanach psychicznych, — głębokiego skupienia się, jakiego wymaga uważne słuchanie arcydzieł dramatycznych i rozpraszania się, jakie wywołuje ustrój teatru o lożowej konstrukcji, oświetlonego tysiącem świec i wypełnionego gwarnym sobą zajęтым tłumem.

Dziwne, iż rafinowane nasze i subtelne gdzieindziej zmysły obumierają w teatrze z chwilą, gdy zasłona sztywna się podniesie i



Nowy Teatr Polski.

Fot. W. Orłowski.

Fasada frontowa.



Nowy Teatr Polski.

Fot. W. Orłowski.

Foyer.

wierzyć nam każą, iż owe zgiełkliwie sklecone, waha-
jące się kulisy, sufity i pal-
damenty,—las, ogród, pole,—
naturę prawdziwą przedsta-
wiać mają.

Od epoki powstania lo-
żowego budynku a więc od
r. 1600 po dziś dzień naj-
większe teatry na tej samej
scenie i w podobny sposób
wystawiają dramaty Szekspi-
ra, Maeterlincka i Słowackie-
go, co przezacni twórcy ope-
ry pp. Pezi i Montevede.

Na tej samej wypełnio-
nej kulisami, maszynierjami
i tem wszystkiem co się pa-
noramiczną tandetą teatralną zowie, na baro-
kowej scenie, gdzie w jezuickim okresie wśród
woni siarki, huku kotłów i surm, niebiań-
skie moce z piekielnymi walczyły, by w koń-
cu panegiryczny pean zaśpiewać,— wygłasza
się dziś Maeterlinckowskie szeptki, okazuje
przekrój Ibsenowskiej i Szekspirowskiej du-
szy, wygłasza skargę Lilli Wenedy...

W budowie barokowego teatru decydu-
jącą rolę odgrywały *dwa czynniki: uświetnie-
nie reprezentacyjnej części zamku — teatru i
względy akustyczne*, dyktowane poświęceniu
tych budynków prawie wyłącznie operze.

Wnętrze przeladowano ozdobami w celu



Arnold Szyfman,
dyrektor N. T. P.



Maksymilian Węgrzyn,
reżyser N. T. P.

stworzenia odpowiedniego dla dworu „mi-
lieu“, gdy teatr był tylko prywatną rozryw-
ką księcia i jego gości. Żaden z architek-
tów barokowych nie zastanawiał się nad
stosunkiem *widza do dramatu*, gdyż akcja
i treść opery były sprawą podrzędną.

Przed dziesięciu laty rozpoczął się refor-
matorski ruch w świecie kulis, w celu na-
dania teatrowi dawnego dostojenstwa, speł-
niania obrzędu, jakie miał w Helladzie.

Anglik, Gordon Craig, niemcy, Rein-
hardt, Fuchs, Diez, próbują zreformować
gmach teatralny i scenę, przywołując do po-
mocy wybitnych artystów malarzy i próbują
zjednoczonymi siłami wybudować teatr no-
wego typu w którymby architektura ma-
larstwo i rzeźba *podporządkowane* były kie-
rowniczej *idei dramatu*.

Co to jest teatr zreformowany?

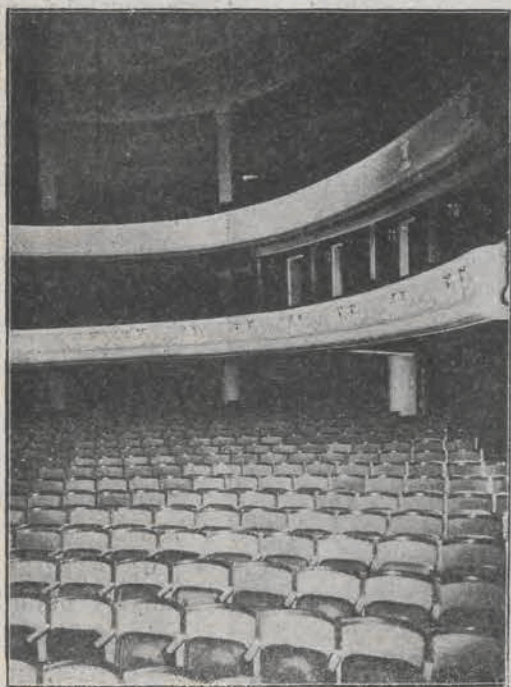
Jest to budynek, oparty na założeniu
wycinka koła, w którym wznoszą się miej-
sca dla widzów amfiteatralnie, wszystkie na-
wprost sceny.

Nowa scena nie operuje kulisami, sufi-
tami i fermami, w celu naśladowania przy-
rody lecz stara się tylko stylizującemi, sym-
bolizującemi wartościami odtworzyć miejsce
akcji fragmentarycznie, odpowiednio do każ-
dej sytuacji dramatycznej.

Naturę przedstawia się na tej scenie
szkicowo, lecz za pomocą plastycznych kształ-
tów i bogatych barw, oblewając scenę wrażli-
wym na odcienie poezji i nastroj światłem.

Scena ta nie chce dać iluzji brutalnej
realizmu, lecz dać fantazji widza podłoże dla
goniącej ją *myśli poety*.

Rozwój elektrotechniki wpłynął na ewo-



Nowy Teatr Polski.

Fot. W. Orłowski.

Widownia.

lucję sceny przewrotnie i sprawił, iż światła używa dziś dekorator, niby palety malarzkiej.

Nowo otwarty teatr polski zbudowany przez utalentowanego artystę architekta, Czesława Przybylskiego łączy dwa typy teatrów w sposób harmonijny. Teatr ten uposażony jest w zdobycze najnowszej techniki teatral-

nej, (scena obrotowa, lampa o sile 60 tysięcy świec). Współudział wybitnych artystów malarzy, jak Karola Frycza, Wincentego Trojanowskiego, Stanisława Drabika sprawił, iż teatr ten jest bezsprzecznie najwybitniejszym i najbardziej celowo urządzonym teatrem w Polsce.

Znakomity zespół artystów z reżyserem Węgrzynem na czele zorganizował inicjator teatru, niespożyty w energię i wiarę w dobro sprawy, dyr. Szyfman.

W dniu otwarcia Nowego Teatru Polskiego — szlemy dyrekcji i artystom staropolskie „Szczęść Boże“, w podstawowej pracy nad polską kulturą teatralną.

* * *

Sprawozdania, z wystawionego w dniu 29 stycznia „Irydjona“ Z. Krasin-
skiego, ze względów technicznych, nie mogliśmy umieścić w tym zeszytcie.

Otwarcie Teatru Polskiego stało się świętem uroczystym dla tych wszystkich, którzy rozumieją doniosłość powitania w Warszawie nowego przybytku sztuki polskiej. Szereg wybranych artystów z p. Węgrzynem na czele pracował trzy miesiące nad wykonaniem wielkiego dzieła.

Z POŚRÓD ARTYSTÓW N. T. P.



Stanisława Wysocka.



Przybyłko-Potocka.



Laura Duninówna.



Janina Janecka.



K. Junosza.



Władysław Grabowski.



Józef Sosnowski.



Edmund Weychert.



Zelwerowicz.



Jerzy Leszczyński.

Karol Frycz i Stanisław Drabik stworzyli szatę dekoracyjną o nieznanem u nas bogactwie. Inscenizację „Irydjona“ pojęto w duchu neoklasycyzmu i rozwiązano w sposób realistyczny. Przedstawienie wskutek tego nabrało charakteru feerii, w której zbladł duch Krasińskiego, świetność efektownych dekoracji, pięknie skomponowanych przez K. Frycza, gasiła wrażeńie podniosłej interpretacji scenicznej.

Marjan Dienstl.



LISTY Z BALKANU.

(Oryginalna korespondencja „Złotego Rogu“).

III. MÓJ PRZYJAZD DO BELGRADU.

(Beograd! Beograd! Pasażer zbiera odwagę. Dobro! powiada nosacz. Dobro! powiada władza celna. Dobro! powiada władza policyjna. Postać groźna i tajemnicza. Serbscy kozacy. Gawieź hotelowa. Wjazd do miasta.)

Belgrad dnia 23 stycznia.

Pociąg przejeżdża most na Sawie, mija posterunek graniczny i wtacza się zwolna na stację.

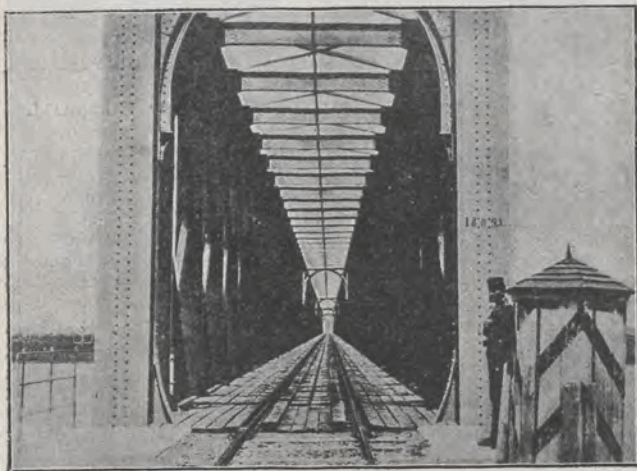
Beograd! Beograd! wywołują konduktorzy bez przekonania.

Wiedzą, że w sześciu pullmanowskich, wspnianych iluminowanych wozach paryskiego ekspresa jeden zgubiony pasażer przyjechał do Serbji. Po cóż się wysilać?

Beograd... Beograd... powtarzają sennie. Zgubiony pasażer szykuje swoje kuferki i zbiera swoją odwagę.

Bo odwaga jest także potrzebna. Równie jak kuferki.

Jesteśmy w kraju nieznanym, dalekim, o którym nam opowiadano rzeczy nieznanome, dalekie — o szpiegach, twierdzach, podziemiach, policjach...



Most na Sawie, łączący Węgry z Serbją. Na prawo żołnierz serbski. Po stronie austriackiej całe rotę piechoty pełnią teraz wartę, gdyż most dla Austrii w danej chwili ma doniosłe znaczenie strategiczne. W razie wybuchu wojny Serbja starałaby się wysadzić go w powietrze, by utrudnić nieprzyjacielowi przeprawę przez rzekę.

„*Kako cze biti?! Kako cze biti?!*“¹⁾ powtarzamy sobie cichutko, ćwicząc się w rozmówkach serbskich.

Wpuszczą nas? Nie odprawią z przed bramy z kwitkiem? Może zamkną z miejsca?

Ach! niech zamkną! niech nawet zamkną! Będziemy pod kluczem, ale zawsze — w Serbji!

Niech jeno nie każą wracać z powrotem. Wchodzi posługacz do wagonu i obejmuje nas wzrokiem doświadczonym: „Ten pan goli wasy. Ten pan ma ładne kuferki. Zatem ten pan, to jest jakiś *innostranec*“²⁾. Zatem do tego pana będziemy mówić po *innostransko*:

— *Majner, oczete hordar?*

— *Jeste!*³⁾ — odpowiadam i jestem dumny. Bo wiem, że *majner* znaczy „pan“ po niemiecku, *oczete* znaczy „chcicie“ po serbsku, a *hordar* „posługacz“ po węgiersku.

— *Dobro!* odpowiada *nosacz*⁴⁾ i jest dumny. Bo on wie, jak się przemawia do takiego pana co goli wasy i ma ładne kuferki.

Z moralnem zadowoleniem chwytam moje bagaże, ładuje na „garb“⁵⁾ i zstępuje po schodkach wagonu na peron.

My zstępujemy za nim.

Dworzec jest skąpo oświetlony i przygniatająco cichy.

Pod kopułą krytej hali, ginącej w tajemniczym półmroku, przesuwa się nieliczna służba kolejowa z latarkami w ręku — w mundurach i czapkach mających zakrój rosyjski.

Przed nami syczą wentylatory lokomotywy i ścielają się dwa snopy jasnego światła, padające ze ślepiów maszyny na błyszczące pasma szyn i wilgotny żwir, upstrzony plamami mazi. Idziemy.

Jakiś schylony człowiek opukuje młotem koła wagonów w takt naszych kroków, stukających głucho pod żelaznem sklepieniem.

Jakaś czarna sylwetka sunie za nami — zdaleka i dyskretnie.

Przychodzimy do sali cłowej.

Napisy wszędzie serbskie i francuskie. To pięknie! To ułatwia orientację i przyjemnie zanoszą Europą.

Siedmiu nieruchomych celników czeka na mnie za drewnianą ladą — na mnie jednego! Och! będzie ciężka przeprawa.

— Co pan ma w tych kuferkach? — pyta siwa kapota celnika.

— Mam *kragny*...

— I co więcej?

— *Kragny*...

— I co więcej?

— Mam *kragny* i... *kragny* i... dużo *kragnow*... — powtarzam w kółko, trzymając się tych kołnierzyków, jak tonący brzytwy, bo w decydującej chwili cała moja nauka serbska uleciała mi z głowy, niby ptaszek z garści.

— Czyli całe trzy kuferki samych *kragnow*! — śmieje się dobronny celnik. — *Dobro!* powiada i — nalepia kartkę.

Przeprawa skończona.



Dworzec kolejowy w Belgradzie.

Zdjęcie dokonane w chwili, gdy mnogie tłumy oczekują przybycia pociągu, który przywiezie rannych żołnierzy z pola walki.

„Dobro!“ powtarzam sobie w duchu, przejęty filozoficzną głębią tego wszechmogącego słowa i przechodzę do sali, gdzie czuwa policja.

Siedmiu nieruchomych żandarmów czeka na mnie za zielonym stołem — na mnie jednego! Och! będzie ciężka przeprawa. Jakże mi drżą kolana!...

Komisarz jest młody, zgrabny, czarny i przystojny — żandarmi mają granatowe mundury z czerwonymi wyłogami i baranie czapeczki naszych konduktorów na linii warszawsko-wiedeńskiej.

Sięgam do portfela, by wyciągnąć paszport.

— To niepotrzebne, spieszy komisarz po francusku. Skąd pan przyjeżdża i co pana do Serbji sprowadza?

— Przyjeżdżam z Polski, a do Serbji sprowadza mnie...

— Z Polski? *Dobro!* — I grzeczny ukłon wojskowy.

Przeprawa skończona.

Lecz ja nie dowierzam i pytam ostrożnie:

— Czy to już wszystko?

— Wszystko.

„Dobro!“ wołam w głębi ducha, tłumiąc okrzyk wesela, który mi się w piersiach rozpie-ra i pełen radości kieruję się ku wyjściu.

Przechodzę korytarz ciemny, zaniedbany i zupełnie wyludniony, mijam budkę *sarafa*⁶⁾, który drapieżnie ofiarowuje mi swoje bandyckie przysługi i staje przed bramą główną.

O! w progu sterczy jakaś postać — groźna i tajemnicza!

Wzrost z przed potopu, broda czarna, gęsta i zmierniona, ślepią błyszczące pod krzakami brwi — na to czapa barania, jak kopiec siana, wiejska *gunicza*⁷⁾ zblocona i stargana, pantalo-ny u góry szerokie, gościnne, z tyłu jak worek obwisłe, a u dołu wązkie i obcisłe, na nogach krypcie niby jedna gruda błota, z którego ster-czą dwa zadarte rogi. Na ramieniu karabin ni-czem słup telegraficzny — ogromny, olbrzymi, nie-skończony, z bagnietem, który powalę dziurawi— w pasie torba na naboje a na plecach worek od kartofli.

Co to jest?

Brodziaga — sybirski brodiaga.

Nie. To jest żołnierz. I to prawdziwy, uczciwy żołnierz. Bo choć brudny, nie ubrany i obdarty, choć pod broń w takim stroju wzięty, w jakim wołu ze swego siola na targ przypę-dził, to przecie słuszniej na nazwę obrońcy oj-czyzny zasługujący, aniżeli niejeden z wysznu-rowanych i wykrygowanych, paradnych żołnie-ryków Europy.

Żołnierz trzeciego powołania. Nazywają go tutaj żartobliwie „serbskim kozakiem“. Są to ludzie starsi — od 40 do 50 lat. Część ich poszła w ogień, część zaś pełni w kraju wewnętrzną służbę militarną.

Magazyny serbskie nie rozporządziły po-trzebną ilością mundurów i dlatego pozostawiono ich w stroju przyrodzonym, dając im tylko ka-rabin na ramię i torbę na naboje.

W Belgradzie prawie się nie widzi obecnie regularnego żołnierza. Pozostała jeno gwardja królewska — darmozjady od parady — i wyżsi oficerowie ministerjum wojny. Regularny żoł-nierz jest albo w polu, albo w szpitalu, albo — w ziemi.

Natomiast na każdym kroku spotyka się oddziały „trzeciego powołania“. Wieśniak w ba-raniej czapicy, *guniczy* i krypciach, jakiś majster krawiecki w habigu i eleganckim palcie, robotnik w niebieskiej bluzie i wyszcigowej czapecz-ce — wszyscy razem i zgodnie maszerują w po-ważnym szeregu po niezgłębionych, niezmierzo-nych, nigdy nie zgruntowanych błotach stolicy. Na ramieniu mają niebotyczne karabiny starego modelu, w pasie naboje a na plecach — zamiast tornistra — szare worki, drewniane kufarki lub zawiniątka ze zbrukanych prześcieradeł albo różnokolorowych kocyków i pstrokatych kilimów.

Pocieszny jest wygląd takiego „pospolitego ruszenia“ w marszu i tylko pamięć o jego cięż-kiej i uczciwej służbie dla sprawy publicznej powstrzymuje cisnące się na usta uśmiechy i kpiny. —

Nie wiem, jak pocziwy wieśniak zrozu-miał moją minę i mój wzrok ciekawy, ale się wyprostował, bagnietem w powalę uderzył i usłu-żenie mi bramy uchylił.

— *Dobro!* — rzuciłem mu w przechodzie i wyszedłem na ulicę.

¹⁾ Jak to będzie?! jak to będzie?!

²⁾ Cudzoziemiec.

³⁾ Tak jest.

⁴⁾ Posługacz kolejowy — człowiek, który „nosi“. Chciałem wam przesłać fotografię jego, bo typ to drogocenny. Odnalazłem i dałem dinara, obiecując więcej, byle poszedł do mojego nadwornego foto-grafa. Wziął, lecz poszedł... do *kafany*.

⁵⁾ Belgradzcy posługacze kolejowi noszą płach-ty grubego sukna na plecach, zakończone wałkiem. Wygląda to jak garb, a ułatwia noszenie ciężarów.

⁶⁾ Mieniający pieniądze.

⁷⁾ Serdak wieśniaczy.

⁸⁾ Saloniki po serbsku.

Sprostowanie.

W № 4 „Złotego Rogu“ w artykule „A gdy nas dola jak październik rozprasza“... wszędzie, gdzie wydrukowano *Panama*, powinno być *Parana*.

Napałł mię tłum gawiedzi hotelowej.

Pomyślcie! dziesięć hotelów i dziesięć lazaretów dworcowych, którym jeden jedyny pasażer jest „natchnień krynicą“.

„Grand hotel! Hotel *Solon!* Moskwa! Bałkan! *Srbska kruna! Greczka kralica!*“ cisną się w oszałamiającym wrzasku w moje spłoszone uszy.

Nie biorę żadnego.

Nosacz ładuje kufarki do fiakra.

— Ile?

— Dwa franki.

— Ile?!

— Dwa franki.

— Oszalałeś?!

— Dwa franki.

— Masz dwa franki i daj mi święty, do stu diabłów, spokój! powiadam uprzejmie nosaczowi, a w duchu myślę sobie—po raz pierwszy w Serbji — *nie dobro!*..

Ale trudno. Inteligencja się płaci.

Wsiadam do karetki, pozostawiając za sobą pomruk między hotelarzami i gorycz niespełnionych marzeń.

I teraz rozpoczyna się jazda — straszna, niezapomniana, o pomstę do nieba wołająca jazda, po której do dziś mam jeszcze żebra w klatce piersiowej przesunięte a po nocach ciężkich śnię o trzęsieniach ziemi i wybuchach wulkanów.

W ciszy uśpionego miasta, w ciemnościach zalegających ulice, karetka moja przeskakuje z kamienia na kamień, wpada w przepaście, konie dyszlem w powietrze podnosi, wydobywa się z otchłani, jedzie dalej, grzęźnie w błoto, dźwiga się z topieli, pędzi naoslep po karkołomnej spadzistości, staje dęba przed wyrosłą zniecka górami, sapie ciężko, wyjeżdża na szczyt, spada nagle w dolinę, zamiata jak saniami po szynach tramwajowych — słowem jedzie po belgradzkich ulicach, wykonując dziesięć prac herkulesowych, jedną parą zdechłych koni i dwoma woźnicami.



Trzecie powołanie serbskie. Włóczęga strzeże toru kolejowego (ciekawym jest stosunek długości karabinu do wysokości człowieka)



Trzecie powołanie serbskie. Dwóch mieszczan idzie na wartę przed gmach ministerjum wojny.

Albowiem belgradzkie fiakry mają dwóch woźniców na koźle — na wszelki przypadek! — gdyby jeden padł na odpowiedzialnym posterunku.

Zdejmuję kapelusz z głowy, nogami się mocno o przeciwległą ścianę zapieram, jedną ręką trzymam się ławki, drugą podpieram kufarki albo podnoszę szybę, która raz wraz z brzękiem na dół opada, wpuszczając do wnętrza prąd wilgotnego powietrza i zacisnąwszy zęby a oczy szeroko otworzywszy — patrzę na miasto.

Mieczysław Jęłowicki.

W dniu 29 stycznia zgasł ś. p. **Kazimierz Laskowski (El)** znany poeta i sympatyczny dla serc polskich piosenkarz.

Wiść ta doszła nas z chwilą oddawania numeru pod prasę, w następnym więc numerze umieścimy podobiznę zmarłego wraz z rysem biograficznym i oceną jego zasług na niwie literatury ojczyznej.

SONET.

*Nocy! Dlaczego schodzisz na dusz zadumanie?
Dlaczego twoje wonie tyle wspomnień niosą,
a ty, świecąc dokoła brylantową rosą,
śmiejesz się blaskiem rosy? Nocy, czy szatanie!?*

*Pomnisz? Zdawna mię niosłaś w zamysleń
[otchłanie,
zastuchań i zapatrzeń!.. Głowę ciemnowłosa
pochylałaś — i wiozłaś na swoim rydwanie
moje marzenia, dzisiaj ścięte życia kosą...*

*Uśpiona w blasku słońca! a gdy twa godzina
ma nadejść, cudna nocy, poszept twój zaklina
wszelką władzę mej duszy, czyni złud poczęcie,
milczenie tajemniczo nakłada pieczęcie
i jest to chwila boska, słodka i jedyna,
gdy żyć mogę dostojnie, zwycięsko i święcie!*

Tad. Hiż.

W ŚRÓD BAGNISK I MĘTÓW.

Czternastoletni zabójca... zestawienie młodocianego, niemal dziecięcego wieku z przestępstwem morderstwa brzmi ohydłą jakąś nutą, jakby wyrzutem ciężkim przeciw społeczeństwu i urządzeniom, które nie zdolne są zapobiedz racjonalną opieką nad małoletnimi i krzewieniem oświaty, tego rodzaju faktom, niestety, nie oderwanych.

Bo czyż tu sam fakt dostatecznie nie mówi, czyż sam ohydny czyn zbrodni małoletniego nie jest już moralnym połączkiem? Posłuchajcie przecież:

Taki Ludwik Rozesłański, ledwie 14-letni wyrostek, sierota, pozbawiony opieki, wpada w euchnące bagno najohydniejszych mętów społecznych, żyje wśród alfonsów, sutenerów, prostytutek, bandytów, złodziei — oto jego opiekunowie i — — szkoła! Posłuszny woli swych *wychowawców*, nasłany przez nich, pewnego dnia napada na również wykolejoną istotę, prostytutkę, Wiktorję Adamską i zatapia nóż w jej szyi; arterja przecięta — śmierć następuje momentalnie. Morderca rani jeszcze przyjaciółkę swej ofiary, ratuje się ucieczką — zostaje schwytany i w epilogu oczekuje na wyrok w więzieniu.

Oto tragedia życia, które ledwo że budzić się zaczęło...

W warunkach w których się znalazł Rozesłański, w których od dzieciństwa swego przebywał, wyjątkowe charaktery, rzadkie jakieś indywidualności mogłyby się oprzeć przestępstwu. Charaktery tak odporne i tak kryształowe już w samej swej istocie, spotykamy, niestety, najczęściej tylko — w powieściach, rzeczywistość jednak nie obfituje w tego rodzaju jaśniejsze ogniki wśród bagna ohydny i zepsucia.

Życie środowiska w którym się znajdujemy, to najbardziej wpływowa nasza szkoła, życie wyrzutków w, wśród których kształca się tacy Rozesłańscy, to najbardziej udzielająca się zaraza, która im podatniejszy grunt znajdzie, z tem straszliwymi występuje objawami. A grunt wśród gniazd, wydających

przestępców, jest niezwykle podatny. Ojcowie — alkoholicy, matki — prostytutki, potomstwo więc z piętnem chorób i degeneracji atawistycznie dziedziczące cechy nabyte a może też przyrodzone swych rodziców.

Słynny uczony Lombroso, którego dzieła poświęcone są badaniu psychologicznych przyczyn przestępstwa w zależności ściślejsz z anatomją człowieka, doszukuje się nieraz genezy zwyrodnień w całym szeregu pokoleń, pozostających w sprzyjających przestępstwom warunkach. I słusznie, trudno przypuścić żeby zniekształcenia czaszki, czoła i t. p. następowały szybko, na to potrzeba czasu, potrzeba żeby przez całe szeregi lat lub wieków dane jakieś funkcje w pewnym kierunku specjalny wywierały nacisk, w pewnym kierunku grupowały się i ześrodkowywały, nieprzerwaną pracą coraz to wygodniejszy stwarzając sobie podkład.

Różnice jednak w składzie człowieka nie polegające na przyrodzonym zniekształceniu lecz na zmianach w systemie nerwowym, krwi i przez to — wpływie na funkcje mózgowe, samo się przez się rozumie, mogą następować, jako dziedziczne już nawet po rodzicach, a jako nabyte — występować mogą przecież u danego osobnika w bardzo krótkim czasie.

Obowiązkiem jednak społeczeństw jest rozumne izolowanie

zawczasu dzieci i młodzieży od tych zgubnych wpływów, które wydają nam w następstwie zbrodniarzy i wogóle cały szereg wyrzutków, izolowanych dopiero po czynie przez osadzenie... w więzieniu.

Ważniejszą jest nie ta izolacja jako wynik surowego wymiaru sprawiedliwości lecz izolacja — wynik opieki społeczeństwa nad wydziedziczonymi lub upośledzonymi od losu a do tego przecież powinien zżądać szereg instytucji racjonalnie i celowo w tym kierunku prowadzonych. Mamy już co prawda ochronki, przytulki dla dzieci, pogotowia opiekuńcze, kolonje, lecz to wszystko mało — ileż bowiem jeszcze takich Rozesłańskich błąka się po ulicach miasta.

Mamy wielce pożyteczną instytucję „Ochrony kobiet“, czyżby nie można było zorganizować instytucji również o charakterze ściśle ratowniczym: „Ochrony dzieci i młodzieży“? Instytucja taka musiałaby mieć legion opiekunów i agentów, którzyby rozwinęli swą działalność szczególnie w kierunku wyrwania młodych latorośli z bagna zepsucia i występku, skierowując je w następstwie do odpowiednich zakładów opiekuńczych lub oświatowych. Przypuszczam, że przy dobrej woli i ofiarności społeczeństwa instytucja taka, zorganizowana na większą skalę z filjami i oddziałami, mogłaby chyba powstać u nas i to w stosunkowo może nawet krótkim czasie.

Najradkalniejszym środkiem byłoby co prawda obowiązkowe powszechne nauczanie, oświata bowiem najdobroczynniejszą opiekę roztacza nad ludzkimi czynami, lecz gdy, daj Boże, dopiero daleka przyszłość przyniesie nam jaką korzystną zmianę w tym kierunku, tymczasem, gdy szkoła dla wielu tych niebezpieśliwych istot jest rynoszok i ulica, własnymi siłami powinniśmy stworzyć jakąś akcję ratunkową.

Powinniśmy — i musimy, i to jest najpierwszym naszym obowiązkiem.

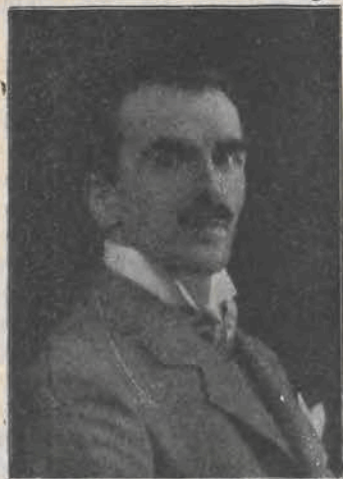
Walenty Zieliński.



Ludwik Rozesłański,
14-letni zabójca.

MUZYKA. — SEZON W FILHARMONJI.

Koncerty Słowińskiego zawsze cieszą się wielkim powodzeniem, lecz ten, który się odbył we wtorek, specjalną atrakcją sta-



Józef Słowiński.
(Koncert jubileuszowy w Filharmonji).

nowił, nie tylko ze względu na przepiękny program, składający się z dzieł Chopina, lecz również i ze względu na 25-letni jubileusz znakomitego wirtuoza. Słowiński był w doskonałym usposobieniu, zagrał prześlicznie oba koncerty Chopina F-moll i E-moll przy akompaniamencie orkiestry, oraz Nocturne, Mazurki, Barkarolę i Fantazję a poetycznym i głęboko odczucym odtworzeniem tych kompozycji czarował zasłuchaną publiczność. Zgotowano mu owację kwiatową, a oklaski długo nie milkły. Dzień jubileuszowy znakomi-

tego wirtuoza był prawdziwą uroczystością w Filharmonji, gdzie artysta nie tylko roztoczył czar swej muzyki lecz nowe, silniejsze jeszcze zadzierzgnął węzły z wdzięczną mu Warszawą, wzmacniając te wszystkie złotostrunne spójnie, które łączyły go z nami całe ćwierćwiecze... Przez ciąg tego czasu wielki talent Słowińskiego nie stał w mierze, lecz wzrastał wciąż i potężniał a dowodem tego jubileuszowy koncert niepospolitego mistrza:



Cervi Caroli,
primadonna opery.

Wszystkie niemal koncerty w Filharmonji, w ostatnim tygodniu, należały do niezwykle udatnych. Między innymi należy wyróżnić koncert młodocianej, 15-letniej skrzypaczki



Cecylja Hansen,
15-letnia niepospolita duńska skrzypaczka.

Wyjątkowa siła i głębia tonu sprawia wrażenie, które na długo w duszy naszej pozostaje, nadzwyczajna zaś technika nie tylko zadziwia, lecz wprost imponuje. Artystkę przyjmowaną owacyjnie.

Na „poranku ludowym“ w Filharmonji wystąpiła debiutująca śpiewaczka, panna Jadwiga Szymańska, siostra znanej sopranistki, p. Marji Colignon-Szymańskiej i od razu zdobyła sobie publiczność pięknym swym głosem o dźwięku szlachetnego metalu; należy podziwiać subtelność cieniowania i modulację, którą śpiewaczka ujawniła



Jadwiga Szymańska,
wielce utalentowana śpiewaczka. (Debiut w Filharmonji).

w pieśniach Karłowicza, Noskowskiego i Nowowiejskiego. W pannie Szymańskiej witamy nowy wybitny talent.

W koncercie w Filharmonji na szkołę mazowiecką wzięła udział, między innymi, znakomita primadonna opery p. Cervi Caroli. Bogactwo niepospolitego głosu, nadobna artystka z wdziękiem rozwinęła przed słuchaczami, ośniewając perłami srebrzystych tonów, nie tylko stałych wielbicieli swego talentu lecz i tych, którzy dla pięknego celu na koncert przybyli. Nie spotyka się często tak nawszkroś artystycznej natury, to też nie powszednią jest uczta, którą znakomita śpiewaczka sprawiała zawsze słuchaczom swymi występami. Z.

KATASTROFA BUDOWLANA.

Z prywatnej ofiarności szlachetnej p. Kierbedziowej wznoszą się równocześnie dwa gmachy użyteczności publicznej po-

spotkał się przy materializacji z niesumiennością, czy też lekomyślnością ludzką.

Sędzia śledczy zajmuje się powodem runięcia jednej ściany wyprowadzonego pod dach budynku biblioteki publicznej, sędzia śledczy wykaże, kto zawinił, kto sprawił, iż pięć istot ludzkich w gruzach budynku życie straciło.

Podejrzenia, jakie mimowoli nasuwają się, przechodzą grozą

nowem sklepieniem sali, wiatr miał powalić niedokończoną attykę gmachu. Doprawdy źle by się czuli mieszkańcy warszawskich drapaczy nieba, gdyby lada wiatr miał zagrażać ich życiu.

Słów oburzenia znaleźć nie będzie można, gdy okaże się, iż powodem marnotrawstwa groźna filantropki i utraty życia pięciorga osób były szachrajstwa i fuszkerka!

Czekamy cierpliwie, jaki wyrok wyda w tej sprawie ekspertyza znawców.

Losem sieroty Janka Jedwabnego zajął się przemysłowiec p. Roman Rekiert, zamieszkały naprzeciw wznoszącej się budowli, przy której zdarzył się wypadek, co wstrząsnął serca całej Warszawy. P. Kierbedziową, przebywa-



Zawalenie się biblioteki publicznej im Kierbedziów przy ul. Koszykowej.



Zwłoki stróża, Rafała Jedwabnego, po odkopaniu zśród beek i gruzu.

święcone, biblioteka i szkoła sztuk pięknych. P. Kierbedziowa złożyła na ołtarzu obywatelskiej miłości kapitał przynoszący sumę pół miliona rubli. Szlachetny czyn fundatorki

obrazy piekła dantejskiego. Jedno z pism brukowych tłumaczy powód katastrofy... wiatrem. Wiatr miał wstrząsnąć murami, i beto-

jąca w Rzymie, uwiadomiono o tragicznym losie jej fundacji.

Benefis p.p. Mili Kamińskiej i Władysława Szarskiego w teatrze Małym.

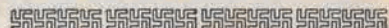


Władysław Szarski.
(Benefis małżeńskiej pary artystycznej w teatrze Małym).



Miła Kamińska (Szarska).

W teatrze Małym pod dykcją Kaz. Zalewskiego, urabiają się i rosną młode talenty w ogniu premjer. P. Miła Kamińska należy do najpożyteczniejszych młodych sił teatru Małego, wlewając w każdą kreację urok i wdzięk młodości i talentu. P. Szarski, małżonek p. Kamińskiej należy do artystów pojmujących swój zawód sumiennie i z wrodzoną inteligencją. Młodej parze ofiarował dyr. Zalewski benefisowy wieczór, w którym artystyczna para zbierała oklaski i kwiaty.



Czytelnicy, którzy nabędą numer bieżący w naszej administracji lub w kolportażu, będą mogli nabyć w cenie złóżonej do 15 kop. nasz numer noworoczny wraz z portretem ks. Józefa Poniatowskiego. Numer ten kosztuje kop. 30.

MIECZ I DYPLMACJA.

„Szalony brzytwy się chwytają” — powiada polskie przysłowie. Ale nie tylko do Polaków stosuje się ono. Jak szaleńcy, chwytający się brzytwy, postąpili młodoturcy, wywołując przewrót. Czyn ich da się objaśnić, wytłumaczyć ich stanem psychicznym, ale wyrozumować usprawiedliwienia na ich korzyść w żaden sposób nie można.

Wprawdzie w polityce każdy czyn najlepiej usprawiedliwia się powodzeniem, a najmądrzejszy, w razie niepowodzenia, bywa potępiany. Nikt jednak nie przypuści, aby sprawy ostatniego przewrotu w Turcji wierzyli w jego powodzenie. Chyba tylko jeden Enver-bej, bo ten podobno pochodzi z ojca Polaka i matki Turczynki. Krew więc ma polską. A we krwi Polaków ostatniego stulecia pływ-



Kiamil-pasza,
były wielki wezyr

nie wiara w możliwość niemożliwości. Niejednokrotnie wiarę tę drogo okupywali.

Gdy „postępowy” rząd turecki z Kiamilem-paszą na czele, doszedł do przekonania, że losów wojny, fatalnych dla Turcji nie da się już odwrócić, postanowił ratować, co jest możliwym do uratowania, i zawrzeć pokój za jakąkolwiek cenę. Chcąc postanowieniu temu nadać po-



Bez konkurencji jest aparat

„MINIMAX“

którym od 1904 roku ugaszono 27698 pożarów w zarodku. Wyłączna sprzedaż MAX BALZ Warszawa (Żabia 9).



zór woli narodu, Kiamil-pasza zwołał wielką radę państwową, t. zw. „dywan”, która, jak wszelkie rady państwowe, uchwaliła to, czego sobie rząd życzył.



Enver-bej,
komendant Konstantynopola. Przywódca
ostatniej rewolucji w stolicy.

Wówczas Enver-bej zrobił gest szeroki a mocny. Z garstką oficerów młodotureckich wpadł do gmachu Wysokiej



Mohamed Szeffet-pasza,
obecny wielki wezyr i minister wojny.

Porty, rozpedził rząd, śmiertelnym strzałem z rewolweru sprzątnął własnoręcznie Nazima-paszę, ministra wojny, najdzielniejszego i podobno najmądrzejszego członka owego rządu, — zmusił sułtana do powołania no-

wego gabinetu młodotureckiego, z Mahmudem - Szeffetem - paszą na czele i obwieścił światu całemu, że „honor Turcji nie pozwala jej na zawarcie upakarzającego pokoju”.

Nie pierwszy raz rozbrzmiewa to zdanie; nieraz już zapisywano je na kartach historii. A zawsze smutnie kończyli ci, co tylko honor stawiali na pierwszym planie w życiu narodów. Słowa: „wszystko stracone prócz honoru” — pięknie, bardzo pięknie brzmiały, ale były tylko słowami, pokrywającymi szkodliwą dla kraju działalność. Nie uratują też Turcji piękne słowa Enver-beja, nie uratuje jej nawet jego osobista odwaga, wypuklająca go jako niezwykłego bohatera na tle ogólnej apacji i przygnębienia wśród Turków.

Po przewrocie, położenie Turcji jest o wiele gorsze, niż było przed zamachem, przez Enver-beja dokonanym. Wojna, która już skończyć się miała, wyczerpuje w dalszym ciągu osłabione państwo. A na dobitkę wewnątrz nurtuje gorsza jeszcze wojna, — domowa. Przyjacieli zamordowanego Nazim-paszy burzą się i podburzają wojsko. Gdyby nawet na wzburzeniu miało się skończyć, to już ono samo przyczyniłoby się do jeszcze większego zgnębienia Turcji

Wszystko się na nią dziś wali. Nieliczna jej flota, pod naciskiem opinii publicznej, wyrzucającej tchórzostwo jej dowódców, wypłynęła z Dardanellów i... została pobita. „Wszystko stracone, — prócz honoru”. Jedyne, zdolne do boju okręt



Nazim-pasza,
zamordowany generalissimus i minis. wojny.

turecki „Medżidże”, internowany w porcie egipskim, stoi tam bezczynnie. Osłabiono nawet te

jednostki bojowe, które od strony morza niosły pomoc wojskom na linii Czataldżyńskiej, broniącym dostępu do stolicy.

MłodoTurcy, postępujący za bohaterskim Enver-bejem, mniej bohatersko, ale racjonalniej sprawę traktują: ich zdaniem, dalsza wojna, choćby nawet zębna dla Turcji, wzbudzi nieporozumienia między mocarstwami, a może nawet zbrojne wśród nich starcie. W tem właśnie widzą młodoTurcy swe zbawienie.

Złudne to nadzieje. Zgodności niema między państwami Europy, to prawda; ale liczenie na wojnę jest wielce niepewne. Dziś, więcej niż kiedykolwiek, wszystkie rządy Europy pragną pokoju. Zmiana we Francji, gdzie po Poincarém, wybranym na prezydenta, stanął Briand na czele gabinetu, jeszcze bardziej tę pracę wzmocniła. *h. m.*



A. Briand,
nowy prezes gabinetu francuskiego.

Ś. p. Piotr Paweł Piano.

W dniu 19 stycznia zmarł w Warszawie ś. p. Piotr Paweł Piano obywatel ziemski, właściciel dóbr Pyry pod Warszawą.

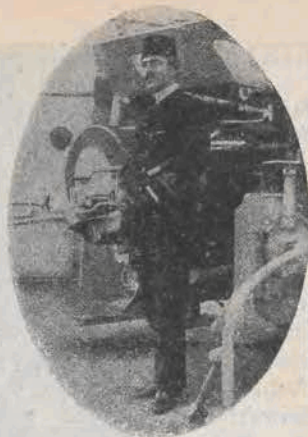
Zmarły zapisał dla sanatorium w Rudce wspomniane dobra Pyry, wartości kilkudziesięciu tysięcy rubli. Hojna to ofiara, która niewątpliwie przyczyni się do dalszego rozwoju tak

LEKARZ DENTYSTA

A. ZAWADZKI

Zielna 7. Telefon 184-47.

przyjmuje 11-2, 5-7.



Kapitan Hussein Raouf,
dowódca krążownika tureckiego „Hamidie”.



Kłeska floty tureckiej w części powetował krążownik „Hamidie” z powodzeniem bombardując Syrę i zatapiając nawet stary pomocniczy grecki krążownik „Wacetonje”. W końcu jednak ścigany, „Hamidie” zawiął do portu—Saldu na morzu Czarnem, gdzie, według praw międzynarodowych, podlegnie rozbrojeniu.



Ku wojnie.

Wymarsz wojsk serbskich na plac boju.



Ś. p. Piotr Paweł Piano,
zapisał dobra swe Pyry na sanatorium w Rudce.

bardzo pożytecznej i potrzebnej instytucji.

Cześć pamięci szlachetnego obywatela kraju.

KSIĄŻKI.

Wyszedł ostatnio nowy cennik nasion, cebulek i kłaczy, zaszczytnie znanego zakładu ogrodniczego p. f. „Bracia Hoser”. Cennik uzupełniony ostatnimi nowościami w dziedzinie ogrodnictwa, zawiera niezwykle obfity i zaopatrzone w stosowne objaśnienia i ilustracje—wykaz cen nasion, cebulek, kłaczy, narzędzi i przedmiotów ogrodniczych oraz katalog wybitnych dzieł, dotyczących się ogrodnictwa. Okładka, wykonana przez zakład artystyczno-litograficzny p. f. Bogdański, Trenner i S-ka w Sosnowcu, stanowi istotnie wspaniałą, pod względem artystycznym, zewnętrzną szatę cennika, będącego wymownym dowodem rozwoju ogrodnictwa krajowego.

W poprzednim numerze ZŁOTEGO ROGU podaliśmy warunki i termin losowania obrazów przeznaczonych dla naszych prenumeratorów.

Z KRONIKI TOWARZYSKIEJ.

W kościele Ś-go Krzyża w Warszawie, ks. Aleksander Kozarzewski pobłogosławił związek małżeński p. Wandy Grodzickiej, córki Józefa Grodzickiego,



Wanda Grodzicka. Ludwik Golczewski.

znanego i powszechnie szanowanego przemysłowca z Radomia i Zofji z Bętkowskich, z p. Ludwikiem Golczewskim, synem Sabiny z Chodnikiewiczów i

ś. p. Czesława, b. prezydenta m. Radomia. Żegnani przez grono najbliższej rodziny i przyjaciół p.p. młodzi odjechali do Kazania, gdzie pan młody kończy studia prawne.

— R.

FRASZKI.

Rozum, gdy mu lotu nie tamują losy,
W stanie jest poruszyć ziemię i niebiosa;
Lecz głupiec, gdy wzbicie się na wysokość stara,
Podzieli się zawsze... z zwycięstwem Ikara.

* * *

W małżeńskim byciu jest proporcja miary,
A gdy się kiedy (o, okrutne losy!)
Kieszeń mężowska *skurczy* nie do wiary,
To się u niewiast *wyciągają* nosy!

Pigmalfjon.

Król—poeta.

Król czarnogórski, Mikołaj, prócz tego, że jest królem — jest także poeta. Tworzy pieśni wojenne, bohaterskie poematy, w których sławi odwagę, męstwo, oraz wszystkie cnoty rycerskie. Uczucia swe zawiera w prostą, niewymyślną formę, a są to uczucia prawdziwie męskie i szlachetne, pełne głębokiego podziwu, dla tego, co silne a nieugięte, śmiałe i nieokiełznane. Ten podziw objawiający się nawet w stosunku do wroga, do odwiecznej nieprzyjaciółki — Turcji — w improwizacji, poświęconej Selim - bey'owi, z okazji jego przybycia, w roku 1879 do Cetynji — dźwięczy potężną, czystą nutą. Improwizacja почина się od słów następujących:

„Dlaczego cię nie doceniają?
O, królu zwycięzców! O straszliwy burzycielu potęg!
Powiadają: Turek jest tchórzem! —
Ośmielają się tak mówić! O to-

bie, który dorównywaśz Rzymianom i Grekom na polu chwały!“

A dalej, woła, król-poeta:

„Hej! Drżała Europa, kiedyś na brzegu jej, z nieliczną armją, zuchwałą postawił stopę. Kiedy, nagły jak piorun, zjawileś się u wrót Cesarstwa Bizantyńskiego, wszystko, co żyło, uciekało przed tobą, śmiertelnie przerażone. Z wieżyc Adrjanopola i Stambułu, ujrzałeś Budapeszt na horyzoncie. Twój bohaterski entuzjazm powiódł cię aż pod mury białego Wiednia... Znany był w Weronie twój turban zielony, a twoi dworzanie kapali się w wodach Mincio!“

„Ileż to razy rzucałeś postrach na ludy Europy! Od zatoki Arabskiej aż po brzegi rzek indyjskich, krwawy zbierałeś haracz. Czemu cię lekceważą? O, stary Lwie, władko Wschodu! Orle czyhający na zdobycz, której na imię „Zachód“.

„I chociaż jesteś moim wro-

giem śmiertelnym, buntuje się sprawiedliwość moja, przeciw tym, co lekceważą potęgę twoją!“

„I oto teraz, gdy się już znamy, gdy uświadamiamy sobie cały bezmiar mocy naszej — niech nas połączy nieć wzajemnego uwielbienia!“

„Ach! Kiedyż swobodniej odechną ludy nasze, zmęczone walką? Oby nadeszły wreszcie błogosławione dni pracy.“

„Lecz gdy wielka straszliwa wojna znowu się rozpocznie, jeżeli znów w górach rozlegnie się zgiełk bitew, pogodzimy się wówczas, jako równy z równym, i pamięć dni przeszłych zczeznie w duszach naszych!“

Teraz, owe słowa królewskiej improwizacji brzmią jak proroctwo, które się tylko w części spełniło. Bowiem „nie uwielbienia“, nie zmieniła się dotychczas w węzeł pokoju i dym prochowy kłębi się w wichrze niezgody.

j. a.



Z rynku na Starem Mieście przeniesiono targ na Marjensztad. Na nowe miejsce (nawiasem mówiąc — niezbyt chętnie) przeniosły przekupki swe lary i penaty i rozłożyły się już z towarem.



Femina

SPORTY ZIMOWE.

Wszyscy, którym dane jest zwiedzać świat, przenosić się swobodnie z miejsca na miejsce, podziwiać cuda natury i nimi się rozkoszować, znają jedną z przepięknych miejscowości uroczej Szwajcjarji, zwaną *St. Moritz* leżącą w kantonie *Engadin*, tonącą latem wśród cudnej zieleni — a zimą pokrytą lodami.

Dawniej *St. Moritz* odwiedzano tylko w czasie lata, sezon dla kuracjuszków trwał od połowy czerwca do połowy września, poczem wszelki ruch zamierał wraz z przyrodą. Kuracja polegała na kąpielach żelaznych — kwaso-węglowych, zasilanych niezmiernie silnymi źródłami, przewyższającymi swym składem pokrewne Szwalbach i Pymont.

Powoli warunki w *St. Moritz* zaczęły się zmieniać, wszechświatowi lekarze po odnośnych obserwacjach doszli do przekonania że kryształowo czyste powietrze i absolutna niemożliwość istnienia chorobliwych mikrobow — czynią miejscowość tę nieocenioną, właśnie w zimie, dla chorych piersiowo i dla nerwowców. Powstały tam sanatoria wzorowe i *St. Moritz* zaczęło przeistaczać się w tak zwaną *station hivernale* — czyli w miejsce klimatyczne zimowe. Oczywiście nie przyjeżdżają tam ci, którzy są rozmilowani w *Wybrzeżu lazurowym* szukając promieni południowego słońca, zapachu róż i fijołów.

Do owych zimowych kuracju-

szów przybywał do *St. Moritz* zwiększając się z rokiem każdym, nowy kontyngens gości — zwabiony idealnymi warunkami klimatu i terenu. — Składali i składają go — sportowcy.

Sport w ostatnich kilku latach, stał się już nie modą lecz wprost potrzebą — przechodzącą w nałóg. Po wyczerpaniu całej

sportów zimowych, jazdy na sławnych *ski* — na specjalnych saneczkach, łyżwowania na wielkich lodowych przestrzeniach i t. p...

Wszystko to daje się wspaniale stosować w *St. Moritz*, gdzie z całym szwajcarskim sprytem i znajomością rzeczy, umiano wykorzystać podatną ku temu przyrodę, łącząc z nią cały wymarzony komfort sportowy. I oto wszechwładna moda, upodobała sobie cichy dotąd zimą zakątek *Engadiny*, sprowadzając do *St. Moritz* najwytworniejsze przedstawicielki sportów zimowych. W bajecznie urządzonych hotelach i pensjonatach, zaroilo się od Anglików, Amerykanów — Niemców a nawet Francuzów, chociaż ci ostatni wolą swoją *Côte d'azur* z ruletką i strzelaniem do gołębi...

Dziś — należy do szyku — spędzić choć parę tygodni zimowych w *St.*

Moritz — poddając się odrębnemu istotnie oryginalnemu trybowi życia, tam obowiązującego. Oto jak się czas przepędza.

Po rannem śniadaniu, około 10 — sportowe towarzystwo rozdziela się na grupy, z których każda oddaje się ulubionemu rodzajowi, uprawianego przez siebie sportu. Większe i mniejsze góry odpowiednio urządzone z lodową powłoką służą do jazdy saneczkami, zjeżdżającymi z nich w zawrotnych biegach i szybkości — lodowe lśnią-



Zimowy flirt.

serji sportów letnich, konnej jazdy, powożenia, pływania, najrozlicniejszych gier na świeżem powietrzu, sportowo uprawianych — jakoteż skatingu, cyklistyki, automobilizmu a nawet lotnictwa panie na równi już dziś z panami — zapragnęły

ce płaszczyzny nęcą łyżwiarzy doskonałością terenu — zasypane śniegiem dostarczają amatorom „ski“ właściwych wzruszeń i t. d. Taka zabawa trwa do 1-ej o której wszyscy powracają do hoteli na obiad, zjadany ze sportowo — wilczym apetytem. Około 6-ej obiad, po obiedzie tańce — owe *modern-style* — a więc *Boston* — i *Double Boston* — *One-Steep* — *Maxixe Brésilienne* i t. p. Ta pokojowa gimnastyka czyli sport trwa do 12, o której wszyscy udają się na dobrze zasłużony odpoczynek. — Sen równa się apetytowi.

Łatwo pomyśleć jak zbawcze zdrowotne skutki wynikają z tego rodzaju życia. Zaziębienie jest niemożliwe bo ubiór sportowy zabezpiecza od chłodu najzupełniej — najcałkowiciej.

Nietylko tryb życia jest tam oryginalny, ale i warunki toaletowe są zupełnie odrębne, nigdzie indziej nie praktyko-

wane. Repertuar toaletowy jest ściśle ograniczony, składa się z dwóch zmian, pierwsza, *strój sportowy* — to jest właściwie mundur obowiązujący, druga, strój wieczorny, balowy niezmiernie wytworny, i na tem koniec. Żadnych kostjumów, żadnych toalet wizytowych, lub eleganckich domowych tak zwanych *d'Intérieur*, żadnych kapeluszy.

Mundur sportowy tak się przedstawia: Zaczynam od nówek. Buciki ze specjalnej nieprzemakalnej skóry, czarne lub żółte, sznurowane, dosyć wysokie, włożone na grube a lekkie trykoty wełniane, okrywające całe ciało, i na grube włóczkowe pończochy bardzo miękkie i elastyczne. Podeszwy, również specjalne, nabite płaskimi lekkimi gwoździami, spódnica niebardzo wązka, zapewniająca peł-

ną swobodę ruchów i odsłaniająca tylko stopy. Jako materiał bardzo ciepła gruba a lekka *ba-ja* dowolnego koloru, najczęściej używana popielata, chociaż angielski noszą przeważnie kolor pąsowy, co na śnieżnym tle — bardzo zabawnie wygląda. Kaftan z tego samego materiału spięty na dwa rzędy guzików, kołnierz futrzany. Ten kaftan włożony jest na białą trykotową koszulkę z wysokim kołnierzykiem. Na głowie czapka dowolna, z włóczki lub futra, by-

kotów i kaftanów, wyglądają jak stylizowane lilje, spowite w przezroczce jedwabie i koronki. Głównie cudnie utrefione, lśnią od drogocennych opasek i wspaniałych paradyzów. Piękne hotelowe salony toną w świetle, rozbrzmiewają, muzyką, całe towarzystwo sportowe *modern style* spożywa wytworną wieczerzę, po której bawi się i flirtuje zawzięcie do północy.

Tak się przedstawiają *zimowe sporty* w St. Moritz.

Marcèle.



Na saneczkach.

le bardzo głęboka i zakrywająca zupełnie czoło, tył głowy i uszy. Na rękach grube włóczkowe rękawiczki. Przewiązanie talji grubym trykotowym pasem z frendzlą. Dawniej noszono te pasy białe jakoteż czapki — ale konkurencja śniegu była dla nich niekorzystną — wyglądały żółto, brudno — więc je zastąpiono zielonymi lub niebieskimi. Ten strój zachowuje się cały dzień — je się w nim obiad — zdejmując tylko wierzchni kaftan.

Wieczorem, te bądź co bądź trochę niedźwiedziowate postacie, jakby za dotknięciem czarodziejskiej pałeczki — zamieniają się w cudne motyle... Drobne nóżki oswobodzone ze skór i gwoździ, ukazują się w całej swej gracji powleczone gazą i atlasem. Zręczne, wiotkie postacie bez grubych spódnic try-

Asta Nielsen.

Eleonora Duse, sławna włoska tragiczka nie przypuszczała nigdy, że gdzieś na północy, w małej jej znanej Danji, wykwitnie talent olbrzymi a dla niej konkurencyjny w osobie Asty Nielsen, która zajęła już dzisiaj najpierwszorządniejsze stanowisko dramatyczno-artystyczne i w teatrze i... w Bioskopie. Wiadomo jest, że wielka Eleonora, w ostatnich latach poświęciła znaczną część swego talentu „Filmom“ ciągnąc z tej frakcji artystycznej olbrzymie dochody. śladami jej poszła Asta, która z całym zamiłowaniem oddaje się tej specjalnej bioskopowej sztuce, zajmującej tak obszerne i znamienne miejsce w obecnych rozrywkach szerszych mas społecznych. Jest to jedna z nowszych gałęzi bardzo obszernego wszechświatowego przemysłu, zatrudnia krocie ludzi rozwijając się i doskonaląc z zadziwiającą szybkością. Bioskop ma swoich specjalnych autorów, inscenizujących całe dramaty, tragedje, całe wielkie szmaty życia ludzkiego, wszystko to na podstawie wyłączenie gościów i mimiki artystów. Jest to trudność nie lada zarówno w umiejętnem a treściwym ułożeniu scen i obrazów jak i w odtworzeniu i uruchomieniu tych autorskich specjalnych pomysłów.

Dokoła bioskopów gromadzi się cały zastęp aktorów różnych miar talentu. Są między nimi i bardzo średnio uzdolnieni, debiutanci w tej sztuce, są też i siły pierwszorzędne, oczywiście te ostatnie są bardzo

poszukiwane i oplacane na wagę złota.

Eleonora Duse i Asta Nielsen, należą do jasnych gwiazd bioskopowego horyzontu. Każde „zdjęcie“ szczytujące się temi nazwiskami jest pewne dużego powodzenia. *Duse*, zamiłowaną jest więcej w scenie prawdziwej, w żywym gorącym słowie, popartem tylko wspaniałą grą, *Asta*, kocha nadewszystko bioskop, plastykę gięstu — gry — bez słów. Walczy z olbrzymimi trudnościami idącymi w parze z tego rodzaju artystyzmem, pokonała je wszystkie i doszła w tym kierunku do największej jaką zdobyć można doskonałości. Jej twarz szalenie wyrazista drga w każdym muskule, jej giętkie wiotkie kształty wyrażają ruchem i bajecznie subtelnym gięstem całą gamę uczuć i wrażeń. Wielbicieli *Duse* twierdzili, że wielka artystka *mówiła rekoma*, to samo da się powiadzieć o *Aście Nielsen* — którą śmiało dziś już

jącej wspaniałych dekoracji nie pokrytych kurzem i nie wyblakłych od sztucznego oświetlenia. Wśród takiej natury wzrastała *Asta* pod okiem kochających ją rodziców, artystyczna jej dusza umiała podsłuchać i podpatrzeć wszystkie czary przyrody i to odbija się w jej grze pełnej życia i nieopisanego wdzięku. Rodzice nie stawiali przeszkód artystycznemu zamiłowaniu *Asty*, oddali ją do szkoły dramatycznej przy Królewskim teatrze w Kopenhagie. Talent otworzył jej szybko drogę do różnych scen — które jednak kolejno opuszczała, poświęcając się wyłącznie bioskopowi. Znalazła autorów piszących dla niej sztuki bioskopowe, które są o wiele uproszczone brakiem słów ale wymagają za to silnej przewodniej myśli, która musi być sensacyjną — drastyczną. Sceny następują po scenach, obrazy po obrazach z błyskawiczną szybkością, uwaga widza musi być utrzymana w ciągłym naprężeniu, całość musi zadawalniać zmysł optyczny, o c z a m i trafiać do serca i duszy, wzruszać — rozczułać lub bawić. Arcy-mistrzynią tej sztuki — jest *Asta Nielsen*.

caré. głośny wtedy adwokat, zapukał do jej serca i — kasy.

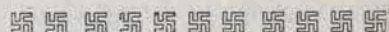
W taki to sposób przeciwnicy chcieli wojować z kandydaturą obecnie wybranego prezydenta.

W niezem jednak w oczach uczciwej części społeczeństwa francuskiego nie została zadraśnięta opinia nadobnej pani prezydentowej, ani też jej małżonka, którego zasługi oceniono najlepiej ostatnim wyborem.



Pani Poincaré,

małżonka nowego prezydenta Rzeczypospolitej francuskiej.



NOWINY I NOWINKI.



Prawo kobiet.

Po raz pierwszy *jury*, czyli sąd przysięgłych składał się wyłącznie z kobiet. Było to w Twinfalls w Idaho. Wszystko szło pomyślnie aż do południa. Punkt o 12-ej wszystkie *przysięgłe* głuche na prośby a wreszcie i na pogroźki prezesa sądu — opuściły gremjalnie salę posiedzeń — poszły przygotować śniadania dla swych mężów. Koło 2 powróciły ze słodkim uśmiechem, płynącym z poczucia spełnionego obowiązku. Gdy przysza chwila osądzenia podsądnej — prezes zwrócił się do *przysięgłych*, które po krótkiej naradzie wydały sąd następujący:

„Zdaniem naszym podsądna jest bardzo winna, ale ponieważ jest jedną z naszych sąsiadek, przeto prosimy Waszą



Asta Nielsen,
gwiazda kinematografów.

można nazwać Eleonorą *Duse*, Bioskopu...

Asta powiada że najulubieńszymi dla niej zdjęciami są te czynione pod jasnym niebem, wśród wolnej natury, dostarczają

Pani Poincaré.

Niejedna z pięknych paryżanek zazdrości dziś nadobnej pani *Poincaré*, małżonce obecnie wybranego prezydenta, zaszczytu, który na nią spada z tytułu elekcji męża.

Biedna pani *Poincaré*...

I podczas kampanji wyborczej rozwinięto też całą sieć intryg, skierowanych głównie do zniesławienia jej opinii a to w tym celu, by choćby nawet pośrednio przez małżonkę osłabić podczas wyborów szanse jej męża.

Opowiadano więc, że zanim wyszła za mąż — występowała w tinglach, zbierając nietylko laury, lecz i... pieniądze od swych wielbicieli, którzy bynajmniej platoniczną miłością jakoby nie mieli się zadowalniać. A gdy dorobiła się w ten sposób majątku, wówczas p. *Poin-*

Wysokość o wielką dla niej wyrozumiałość...

To wszystko jednak nie do-
wodzi żeby kobiety nie umiały
i nie mogły sądzić sprawiedli-
wie... Ileż to razy i mężczyźni
w wyrokach swoich dają się
powodować ubocznymi a mniej
niewinnymi względami...

Dla niecierpliwych narze- czonych.

Zima zwykła podwajać liczbę
osób zamierzających wstąpić
w związki małżeńskie, stąd o-
czywiście zdwojona praca dla
odnośnych instytucji i urzędni-
ków stanu cywilnego. Pewna
amerykańska spółka postano-
wiła uprościć te wszystkie for-
malności i funkcjonuje na jezio-
rze *Michigan* z ogromnem
powodzeniem, gdyż w *Chicago*,
w *Bostonie*, w *Filadelfji*, for-
malności przedślubne połączo-
ne są również z różnemi trud-
nościami i dużą stratą czasu.
Wspaniały okręt zwany *The*
Splicer został specjalnie insta-
lowany w tym celu. Obsługuje
on oba wybrzeża i załatwia z
błyskawiczną szybkością wszyst-
kie przygotowania, niezbędne
przy mających nastąpić zwią-
zках dozgonnych... Nie tam nie
pominięto: specjaliści od spisy-
wania aktów, urzędnicy mający
prawo udzielania dyspens, przy-
sięgli notariusze, całe zastępy
świadków — poczekalnie — kance-
larje i... bary.

Góra matki.

Feministki są najeczęściej krań-
cowe i przesadne w swych wy-
maganiach — ale czasem żąda-
nia ich są zupełnie słuszne i
sprawiedliwe. I tak na przy-
kład: We Francji zorganizowa-
no *specjalną komisję przeciw*
wyludnieniu. Liga ta, liczy oko-
ło 240 członków, między który-
mi znajdują się doktorzy, pro-
fesorowie, urzędnicy i t. d. Brak
w niej tylko jednej kategorii
osób, bez której kwestja zalud-
nienia jest najzupełniej bezce-
lowa — mianowicie — brak w niej
kobiet... Panie Bonneval i Ve-
rone — prezesowa i sekretarka
*„Ligi francuskiej o prawa ko-
biet“* zwróciły na brak ten u-
wagę ministra finansów, dowo-
dząc, że skoro chodzi o zalud-
nienie, to jest o wydawanie na
świat przyszłych pokoleń — to
współdział w tem kobiet, jest
zdaje się nieunikniony...

Kobiety w Turcji.

I Serbja miała w ostatnich
czasach swoją bohaterkę, nie
tak wprawdzie rozgłosną jak
wszechświatowo sławna Joanna
d'Arc, lecz cichą, skromną... te-
legrafistkę... Pracowała w Adria-
nopolu, Bułgarzy bombardowali
miasto — ona bała się śmiertel-
nie, telegrafowała do Konstan-
tynopola: „Co mam robić“? Od-
powiedziano: „Zostać na miej-
scu.“ I została. Wkrótce gmach,

w którym znajdował się tele-
graf stanął w płomieniach, a pod
gruzami znaleziono zwłoki bied-
nej, małej telegrafistki, cichej
ofiary, aż do śmierci wypełnio-
nego obowiązku...

Bułgarja i różę.

Wiadomo że Bułgarja jest
krajem róż i przetworów tychże
na cenny, rozechodzący się po
całej Europie olejek, niezbędny
do produkcji wielu specyfików
kosmetycznych oraz tak pięknych
a obecnie tak modnych perfum
różanych. Na pewną już odleg-
łość, od Philippopoli, ciepłe po-
wiewy wiatru niosą cudny aro-
mat płynący ze sławnej w Buł-
garji „Doliny róż“ w której ca-
łe olbrzymie plantacje najwspa-
niańszych krzewów, wzbudzają
od dawien dawna podziw ogólny.
Wczesną wiosną bo już od po-
czątku marca aż do połowy
czerwca cały zastęp młodych
dziewcząt zbiera te cudne kwia-
ty. Na godzinę przed wschodem
słońca spieszą do „Doliny“,
z wesołą piosnką na ustach
trwają przy pracy. Nad ich mło-
docianemi głowami gasną po-
woli gwiazdy, wschodzą jasne
zorzę i budzi się dzień... W tym
roku różę w Bułgarji nie kwit-
ną, nie miałby ich zresztą kto
zbierać z obawy, by na ich kró-
lewskich szatach nie znalazła
się krew *poległych na polu*
chwały bohaterów.

M.

SPRÓBUJCIE!
Znakomita pastę do obuwia
LUNA
a nie kupicie innej.

Popierajcie Przemysł Krajowy!
Kupujcie tylko najlepszą
Krajową pastę do obuwia
CHROMOLIN HEGNERA
Fabryka Ordynacka 9.



1892 1896
„KRYSZTAŁ“
NAFTA NAJWYŻSZEGO GATUNKU
w BŁASZANKACH
TOWARZYSTWA B^{EN} NOBEL, WARSZAWA, NIECAŁA 4.
— TELEFONY 223-20; 223-40



„EOS“ Jedyna w kraju fabryka Optyczno-Mechaniczna

poleca krajowego wyrobu wszelkie instrumenty **geode-
zyjne** wykonane według najnowszej konstrukcji i zao-
patrzone we własnej roboty **optykę**.

Przyjmuje reperacje instrumentów dla pp. Geome-
trów oraz dorabia „optyki“ do instrumentów wszelkich
systemów.

Podjekuje się wszelkich obsta-
lunków w zakresie mechaniki.

Telefon **WARSAWA** Telefon
268-89 **33 Al. Jerozolimskie 33** 268-89

ISTNIEJĄCY OD ROKU 1805
ZAKŁAD OGRODNICZY
C.ULRICH
W WARSZAWIE - CEGLANA 11
ZAWIADAMIA, ŻE WYSZEDŁ Z DRUKU
CENNIK NASION
NA ROK 1913
I NA ŻĄDANIE ROZSYŁANY JEST
BEZPŁATNIE



BAGNO.

W tych dniach sądy rozstrzygnęły dwie sprawy i skazały na ciężkie roboty dwu zbrodniarzy: fabrykanta Lahmerta i byłego właściciela restauracji, Tuszyńskiego.

Obaj ponieśli zasłużoną karę za ohydne zbrodnie, dokonane na nieletnich dziewczętach, zwabionych podstępnie. Wykrycie potwornej jaskini przy ul. Mikołajewskiej wywołało w swoim czasie ogromne wrażenie nie tylko w Łodzi, ale i w Warszawie, a ujawnienie licznych ofiar przejęło wszystkich dreszczem zgrozy.

Mimowoli, dzięki przypadkowi, uchylono rąbek zasłony życia nizin i wyżyn łódzkich. Z jednej strony nędza, z drugiej bogactwo stanęły na pochyłości. Gdzie te dwie dziedziny tak dalece dla siebie obce i wrogie, zetkną się, tam musi być z jednej strony zbrodnia, z drugiej — jej ofiara. Łódź jest bardzo podatnym gruntem dla wyzysku i najpotworniejszych zbrodni.

W fabrykach łódzkich pracuje kilkadziesiąt tysięcy kobiet, w tej liczbie znaczny procent nieletnich. W różnych zaś kantorach, sklepach i wszelkich innych przedsiębiorstwach również pracuje wielka armia kobieca. Te ogromne zastępy pracownice walczą z niedostatkiem, a często z nędzą, mieszkają w ciasnych izbach, w których razem przebywa po parę rodzin lub lokatorów wynajmujący kąty. Jest to grunt do rozkładu moralnego. To też Łódź jest u nas jedynym miastem w którym się rozwinął w wysokim stopniu handel żywym towarem we wszelkich formach. Przybywają tu handlarze i handlarzki na połów, zwabiają niedoświadczone dziewczęta i rzucają podstępnie na pastwę rozpusty na miejscu, lub wywożą za granicę.

Wobec tych strasznych warunków, przeciwdziałanie Towarzystwa opieki nad kobietami jest zupełnie bezsilne. Rozkład moralny szerzy się w Łodzi z przerażającą szybkością a przyczyniają się do niego nie tylko handlarze, nie tylko nędza i ciasnota, ale i różni panowie Lahmertowie, których w tem mieście jest niewątpliwie więcej, tylko dotąd udaje się im szczęśliwie ukrywać. Czyhają oni na każdym kroku i szukają ofiar we wszystkich sferach, gdzie się tylko da. Ojcowie i matki dziewcząt nieletnich są w nieustannej obawie o swe córki, bo na każdym kroku może być zasadzka tych zbrodniarzy. W roku przeszłym był nawet czas, że zapanował w Łodzi z tego powodu formalny popióch a władze policyjne wydały rozporządzenie, ażeby na żądanie zaczepianych dziewcząt aresztowa-

wano napastników. Oczywiście ten środek stał się w pewnej mierze skutecznym. Ale ani zbrodniarze, ani gleba urodzajna, która ich wyjada, nie znikli wcale i nie mogą zniknąć; bo trzeba byłoby chyba zmieść z powierzchni ziemi całą... Łódź z potwornymi warunkami jej życia.

Albo trzeba byłoby wykonać zbyt głęboką kanalizację moralną, ażeby osuszyć to bagno bezdenne, które się rozlało szeroko po nizinach i po złotych wyżynach „złego miasta.“

Albo czy tylko ta jedna zbrodnia tu się skupiła? Bagnisko rozkładu moralnego sięga dalej.

Oto wymowne cyfry: Według raportów policyjnych, w Łodzi w ciągu roku 1912 dokonano w obrębie sześciu cyrkulów policyjnych 1,784 kradzieży na sumę 361,175 rb. 67 kop. W tej liczbie 415 osób dopuściło się kradzieży z *nędzy i głodu*. W tej zaś ostatniej grupie było 211 niepełnoletnich do lat 16-tu, 97 do lat 20 i 107 od 20 do 60-ku. Z ogólnej liczby kradzieży wykryto 531 na sumę 208,352 rb. 56 kop.

W tym samym okresie były 273 napady, 31 zabójstw i 1,112 zamachów samobójczych, z których 219 skończyły się śmiercią. W starciu z policją zabito 6 bandytów i 9 aresztowano. Pożarów było 243, z tych 5 z *podpalenia*.

Z miasta do miejsc stałego zamieszkania wysiedlono przymusowo 422 osoby. Aresztowano 10,937 osób. Z kobiet oddających się prostytucji, aresztowano 837, w tej liczbie było 378 *kobiet chorych*... Dotąd nie zdołano znaleźć żadnych hamulców na bandytyzm, który szerzy się bezkarnie w dalszym ciągu. Napady na konduktorów tramwajowych i rabowanie im pieniędzy stały się zjawiskiem codziennem a „bandytyzm“ stał się codzienną rubryką reporterów policyjnych i stałą, pokaźną rubryką pism miejscowych.

Przed paru laty każdy, kto wychodził na ulicę, nie był pewny czy wróci do domu, czy nie będzie zraniony lub zastrzelony. Obecnie te najsmutniejsze chwile przeszły, ale strzały na ulicy są jeszcze zjawiskiem dość częstym; więc niebezpieczeństwo dla spokojnych mieszkańców bynajmniej nie ustąpiło. Bandytyzm stał się klęską społeczną i trapi wszystkie warstwy, zarówno robotników, jak i kapitalistów. Wprawdzie już od dość dawna niema oblegania i zdobywania domów, z których bandyci robili sobie twierdze obronne, ale bandytyzm niczem nie zdławiony, szerzy się zuchwale w dalszym ciągu i nosi na sobie wszelkie pozory dobrej organizacji, bo gdyby był sporadycznym, jużby dawno wygasł. Jest to coś wprost potwornego, ażeby taka ciemna organizacja trzymała pod te-

rorem i postrachem całą ludność miasta. Wszakże jeszcze niedawno były takie wypadki, że ludność danej dzielnicy, znając zbrodniarzy nie chciała ich wydawać władzom, w obawie zemsty. Ta właśnie obawa dowodzi najwyraźniej, że bandytyzm jest hydrą wielogłową, na którą dotąd nie zdołano wynaleźć źródła skutecznego. Kto wie zresztą, czy istnieje taki środek na chorobę, która tkwi w głębi organizmu, która wyrosła z niemoralnych i niezdrowych warunków i urządzeń bytu? Chorobę tę można tylko tłumić środkami doraźnymi, ale niepodobna marzyć o jej radykalnem wyleczeniu.

Choroby takie istnieją wszędzie, jak istnieją bakterje chorobotwórcze, ukryte nawet w organizmach pozornie zdrowych. Ale w Łodzi są one we wszelkich objawach spotęgowane, bo to miasto jest jakgdyby żelatyną do hodowli takich bakterji. Zbiegły się tutaj najróżnorodniejsze żywioły—od ludzi uczciwych, do odpadków i metów wszelakich. Każdy tu dąży po złote runo, każdy chce zarobić, czy z pomocą szmaty nasyconej naftą, czy za pomocą „plajty“, oszustwa, czy narzędzi do wyłamywania kas, czy za pomocą weksli sfałszowanych, czy lichwy, czy wyzysku. Ta Łódź błyszcząca zdaleka, jak lampa w ciemnościach, do której ciągną ómy tysiącami z najdalszych zakątków. To też nic dziwnego, że obok ludzi energicznych, wytrwałych, wprost żelaznych, obok zahartowanych w życiu pracowników działają tu zbrodniarze i oszuści wszelkiego rodzaju. Nic dziwnego, że tam gdzie się „robią“ pieniądze, czy to za pomocą dziesiątków tysięcy rąk roboczych, maszyn, elektryczności i pary, tam obok bogactwa musi występować nędza masowa, obok nędzy — zbrodnia wśród bogatych i nędzarzy.

Dla badacza stosunków i zjawisk społecznych Łódź jest preparatem mikroskopowym powiększonym tysiąckrotnie.

To też bagno łódzkie rozlane szeroko, wdzierające się wszędzie i najgłębiej, nie powinno nas pognebiać, nie powinno prowadzić do wniosku, że Łódź jest miastem wyjątkowo zbrodniczym, wyjątkowo szerzącym zgniliznę moralną. Jest ono tylko tą kotliną, do której stacza się i splywa wszystko, zblizka i zdaleka. Ztąd taka moc złego, które nie może być miarą stanu zdrowia moralnego ludności.

Zenon Pietkiewicz.

Dla młodzieży chorej.

Towarzystwo „Domu zdrowia“ polskiej młodzieży szkolnej w Zakopanem otrzymało hojny dar od Henryka i Matyldy Grohmannów, którzy, celem uczczenia pamięci zmarłego w Zakopa-

nem, Teodora Trenklera, ofiarowali 25,000 koron na stypendja dla najuboższej młodzieży płci obojej, wyznania chrześcijańskiego, pragnącej się leczyć na płuca w „Domu zdrowia“ „Pomocy bratniej.“ Stypendja powstałe z odsetek tej sumy, będą przyznawane kandydatom przez lekarza naczelnego oraz zarząd „Domu zdrowia“ „Pomocy bratniej.“

Czyn ten przebiegł jasną smugą po szarem niebie łódzkim zasnutem grubą warstwą chmur egoizmu. Miasto milionerów posiada stosunkowo nieliczne jednostki, które od czasu do czasu bądź fundują instytucje i szkoły, bądź przychodzą z pomocą cierpiącym.

Do tych nielicznych jednostek należą pp. Grohmanowie, którzy już nie po raz pierwszy dali dowód, że po za sprawami osobistymi od-czuwają także żywo sprawy i potrzeby społeczne.

Dar dla ratowania młodzieży chorej jest nie tylko hojnym, ale i pięknym. Świadczy on o wrażliwości głębokiej ofiarodawców na tę największą niedolę: gruźlicę, której ofiarą padają najczęściej ludzie ubodzy, wycieńczeni niepomysłnymi warunkami życia i niezdolni do walki z okrutnym wrogiem ludzkości.

Komisja szkolna.

Stowarzyszenie pracujących w przemyśle i handlu w Łodzi powołało do życia Komisję szkolną, która sformułowała postanowienia następujące:

1) Wyłączając z zakresu swej działalności kursy istniejące przy stowarzyszeniu, komisja zaznacza, że przedewszystkiem należy się zająć rozwinięciem tych kursów, co leży w obowiązku zarządu. 2) Możliwie najprędzej stworzyć przy stowarzyszeniu szkołę niedzielną. W tym celu wybrano podkomisję, która opracuje program takiej szkoły. 3) Utworzyć szkołę handlową, narazie w formie przejściowej szkoły 2—3 klasowej.

Dla urzeczywistnienia tych zadań, zarząd postanowił stworzyć przy stowarzyszeniu fundusz szkolny. Zbieraniem funduszków zajmie się komisja szkolna.

Na wniosek przewodniczącego komisji szkolnej, zarząd przeznaczył na fundusz szkolny dochód przewidywany z projektowanego wydawnictwa kalendarza na r. 1914, czysty zysk z zebrań towarzyskich p. n. „Sobótki“ oraz z przedstawień teatralnych i zabaw na ten cel urządzanych.

Taka szczerza troska stowarzyszenia o szkolnictwo zasługuje na szczególne uznanie i stawia to zrzeczenie na wyżynach instytucji kulturalnej.

Heron.

Od Redakcji. Instytucje łódzkie i osoby prywatne prosimy o nadsyłanie sprawozdań, broszur, wszelkich uwag, notatek i głosów w sprawach, dotyczących życia i potrzeb miasta, pod adresem kierownika działu łódzkiego w **Złotym Rogu**, Zenona Pietkiewicza, — **Łódź**, Inżynierska I.

LITERATURA NASZA I OBCA

POEZJE, POWIEŚCI, NOWELE I OPOWIADANIA.

MARJA RODZIEWICZÓWNA.

5)

Czarny chleb.

— Ot, czemu pan nie wysuszył papierków. Jeszcze nie przyjmą.

— Mniejsza — dam ci innych, prosto z banku.

Chłop się zamyślił.

— Dobrze i pieniądze — ale mnie nie trzeba. Dzieciom dam — będą myśleć, że co schowałem, będą pytać, dokuczać, prosić. Rozjeździe się słuch po ludziach, że u Symona grosze są — jeszcze jaki gałgan w nocy, bez pory — udusi, w pustce. Ot — żeby pan znalazł naszego pana, toby ja o coś poprosił.

— Waszego pana, — znam! uśmiechnął się obcy.

— To tak — jak go pan zobaczy, to niechby on dał kartę do komisarza, że strażnikowi Symonowi Pytce — wolno trzymać pszczoły w lesie — ile chce pni.

— Jakto?

Chłop się obejrzał, i głos zniżył.

— Panoczku, ja już pszczoły mam. Po lesie ale potajemnie. Skarb nie pozwala — ale ja nie mógł wytrzymać — pięć kłód na sosny zaciągnął. Jak kto dopatrzy, zrzucą — i mnie odprawią. Pan nie wie, jaka to mucha kochana.

— Będziesz miał pozwolenie. Ale toć głupstwo. Mów więcej!

— Jakoś nic do głowy nie przychodzi. Ot niech pan teraz jak odszedł — o tem nie myśli. Niech się pan raduje!

— Popłyniesz jutro znowu z depeszą. A teraz — daj mi jeść. (d. c. n.)



TADEUSZ JAROSZYŃSKI.

2)

BONATER.

POWIEŚĆ.

Właśnie dla uniknięcia takiego kontredansa politycznego w tak smutnym momencie, piękna hrabina umyślnie wystąpiła, w ciężkiej, ciemnej sukni. Etykieta nie pozwalała przyznać się do tego otwarcie gospodarzowi. Nie wypadło, a raczej niebezpiecznie było mówić w salonach ambasady o rzeczach, które nie były biuletynami urzędowymi. Obrzuciła tedy wykrygowanego księdza pełnem żalu spojrzeniem i milcząca szła szukać w tłumie serdecznej przyjaciółki swojej pani Sobolewskiej, ażeby z nią pomówić poufnie.

Pani Sobolewska otrzymała była niedawno wiadomość o śmierci brata swego generała Grabowskiego. Zginął on jeszcze pod Smoleńskiem, prowadząc brygadę do ataku.

Więści z placu boju nie były pośpieszne, ani dość dokładne. Ciało zabitego generała nie znaleziono, więc siostra uparła się ażeby nie wierzyć w śmierć brata. Nie mniej przecież i ona na bal dzisiejszy ubrała się w ciemną, zlekka zaledwie pod szyją wyciętą suknię.

Podbiegła do hrabiny Potockiej i ujęła ją pod ramię.

— Ach, moja droga, zaczęła, ten dyplomatyczny labuś każe nam tańczyć, a podobno w ambasadzie wszystko już przygotowane do wyjazdu... czy lepiej do ucieczki, jeżeli wypada nazywać rzeczy po imieniu.

Hrabina Potocka, słyszała już coś o tem od teścia swego Stanisława Kostki Potockiego, nie mogła więc, niestety, zaprzeczyć. Pytała więc tylko o bardziej stanowcze wieści od Wielkiej armji. Ale wieści były sprzeczne i niepewne.

Kto żyje? Kto zginął?

Jakkolwiek panie rozmawiały ze sobą szeptem, zebrało się koło nich grono ciekawych. Otoczył je wieniec bladych smutnych niewieścich twarzy.

— A Książę Józef?

Wielkie czarne gorejące oczy patrzyły na hrabinę. Nie знаła osoby, ale zdało się jej, że oczy te już kiedyś widziała.

— A książę Józef?—powtórzyła kobieta o czarnych oczach i zalsniła w nich lza brylantowa.

Nikt nie umiał odpowiedzieć na pytanie, ale dźwięk imienia tego rzucił na zebrane kobiety nastrój trwogi.

— Ho, ho, panie odprawiają sejm jakiś doniosły—przerwał nastrój głos pana Pradta, który w swych lansadach tak charakterystycznych dla dworaka, zbliżał się ku paniom. Doprawdy, wołał z miłym uśmiechem, Cesarz byłby bardzo niezadowolony, gdyby się dowiedział, jak mało wesołości okazują piękne damy polskie w Warszawie.

Odpowiedziało mu głuche milczenie.

Pan ambasador starał się być dowcipny, rozbawiony, ale, niestety, nastrój na tym jego balu pozostał do końca ponury i przynębiający. Sprawiał on raczej wrażenie smutnych obrzędów pogrzebowych.

II.

Panna Krysią upierała się przy swoim. Nie pomogły płacze i zaklęcia wujenki, nie pomogły perswazje pana chorążego. Ubrana do drogi w ciepłą salopę podbitą lisami, w sutym atlasowym kapturku na głowie, chodziła żywo po bawialni i niecierpliwie nalegała o konie.

— Muszę, muszę jechać koniecznie.

Chorąży zrobił rękami ruch, jakby pragnął wyrazić, że zrzuca z siebie odpowiedzialność, za to, co się stać może. Nie chciał jej powiedzieć całej prawdy, nie chciał jej przerazić, zasmucić.

— Nie można było wcześniej — mruknął—konie dopiero co wróciły z Piwoszan.

Spojrzała na gdański zegar szafkowy, stojący w rogu pokoju. Czwarta minęła. Duża wskazówka doganiała mniejszą. Kąt, jaki tworzyły ich czarne linje na srebrnej tarczy zegara zmniejszał się coraz bardziej. Za chwilę stary zegar wybije kwadrans swoim głębokim, tajemniczym dźwiękiem. Naliczyła

tyle już tych kwadransów, czekając w najwyższym zdenerwowaniu na możliwość powrócenia do domu — do matki samotnej, która musi się jej nieobecnością niepokoić.

— Na miłość boską, wołała w rozdrażnieniu, skoro Marcin już wrócił, to niech wuj dobrodziej nie zwłóczy i każe nareszcie zajeżdzać. Koniom się nic nie stanie. Mój Boże, czyż to tak daleko? Za małe pół godziny będę w domu.

— Konie zdrożone, za pół godziny nie zajedziesz.

— No, to choćby za godzinę... i tak zdążę przed zapadnięciem nocy.

Stary machnął ręką.

— Ot, zostań waćpanna do jutra, zano-cuj... To ci mówię.

Ciotka objęła ją rękoma za szyję.

— Moja Krysiu, duszo jedyna, ty słuchaj co ci wuj powiada. Zdejm salopkę, kapturek...

— Za nic.

Chorąży się niecierpliwił.

Upór! Ha, na upór, jeszcze niewieści, rady nie ma. Muszę ci zatem moja mościapanno powiedzieć... Trudno, w tym sposobie, jak rzeczy stanęły ukrywać nie chcę i nie mogę. Muszę tedy oznajmić waćpannie, że droga do was choć nie długa, nazbyt bezpieczna nie jest.

Panna wydobyła z zarekawka sporą krucicę i pokazując ją wujowi, odrzekła rezo-lutnie.

— Nie dbam, mam się czem bronić.

Pokiwał głową.

— A no, wrony straszyć, może... ale... Hm, nie wiesz, widzę, mościapanno, całkiem co się święci. Smutne czasy idą — smutne i straszne! Niebezpieczna, mospanie, w tym momencie i nos na świat wychylić. Ba, i doma człek nie pewny swej godziny. Po okolicy włóczą się kupy maruderów, a za nimi jak zajadłe charty uganiają się kozacy. Nie na trakcie my, coprawda, nie na ich przekętym szlaku, ale się tałajstwo to na kilka mil szeroko po kraju rozlaży, szukając coby pożreć a zagrabić. (d. c. n.)



STARE LWY.

POWIEŚĆ.

Cierpieli obaj—usta oniemiały... Zapadła między nimi jakaś cicha umowa milczenia.

— Tak lepiej, lepiej!—powtarzał Przemko, uspokajając się wewnątrz.

A wiosna rozwijała czary swoje, księżyc światłem coraz srebrzystszym zalewał dolinę przed zamkiem.

— Paneczku!—zwrócił się raz do chłopca Maciek stary—a czyby nie czas już było wyskoczyć dziewczuchom z babinca i popląsać po północy?

— Postarzeliście, Macieju—a dziewczęta do świtu skakać zechcą—rzucił, niby od niechcenia, Przemko...

— Toć prawda, że Maciejowi do miesiąca już nie wdychać — ale nie dziewczuchom.

— Cóż na to poradzić?...

— Można.

— Jak?

— Wy już nie ci, co byliście dawniej... w łaskach u naszego pana jesteście...

— Zatem?...

— Weźmieta kluczyśka od furty... Po tańcach z powrotem zawiesicie nad łóżem mojem—i już!...

Przemko drgnął lekko...

— Tak... to zgoda!...—odrzekł...—bo nie miałbym sumienia starych kości waszych fatygować, Macieju!... a porządku... toć nie gorzej od was przypilnuję...

Zamyslił się...

— Dziś—piątek — szepnął... We wtorek pełnia księżycy. Zatem, we wtorek!...

Stary Maciek przytaknął i wtajemniczył Przemka w arkana misternego zamku, otwierającego furte.

— Niech się już raz stanie, co się stać ma—szepnął do siebie, żegnając starego Maciusia... Dziś—spotkanie się z Jasieńcem... We wtorek—on z nią, ja z Pereiką... wyruszmy w świat, w świat!...

Po słońca zachodzie spotkał się z Jasieńcem pod umówionym modrzewiem — i ułożyli plan ucieczki. Zamek w śnie będzie pogrążony — korowód posunie się za mury—do furty niestrzeżonej wejdzie Jasieniec, przemknie się przez korytarz, kagan-

kiem oświetlony. Drzwi sypialni pani Dominiki stać będą otworem... Na czatach Perelka... Wejdzie jak duch i wyjdzie jak duch... On—Przemko—czuwać będzie nad snem wojewody. Później, jak wiecher, pociągnie za nimi... Spotkają się na rozdrożu wiadomem i w świat, w świat!...

— We wtorek... po północy!...

Zapadła uchwała.

Jasieniec promieniał... Przemko rozgorączkowany był... niespokojne, urywane słowa wybiegały z ust, oczy unikały spojrzeń Pełkowych, aż rycerz zapytał zdziwiony:

— Co ci jest dzisiaj?...

— Na wielką rzecz się ważymy i ty — i ja!...

— Przewidujesz niebezpieczeństwo jakie? spytał Jasieniec...

— O tem nie myśleć!... klucze od furty u mnie—warta stróżuje w noc ciemną... Noc miesięczna, pełnia księżycy w tym wypadku są dobrymi sprzymierzeńcami naszymi.

— Więc czego drżysz?...

— Nie wykradałem dotąd niewiast...

— To nie strach! zaśmiał się Jasieniec...

Klasnęli w dłonie... Pełko do Smolenia, Przemko do Ogrodzieńca powrócił...

Zaledwie oddalili się, jak coś poruszyło się w dziupli starego modrzewia, z której się wysunął Kukulka, rozejrzał się na lewo, na prawo—i zacharował:

— We wtorek—po północy!...

XIII.

Łatwiej było obmyślić Kukulce plan zemsty, niż go w czyn wprowadzić. Wieść, schwycona zdradziecko, musiałaby się dostać do ucha pana wojewody, ale jak tego dokonać, o tem nie pomyślał był Zaraniec. Trzasnął się w łeb, ale to się nie na wiele przydało. Bez opowiedzenia się straży nie można było dostać się do zamku ogrodzienieckiego, zanadto zaś był znany w okolicy całej, jako komendant zbójeckiej załogi Smolenia, starego wilka ręka prawa, by mógł być wpuszczony przed oblicze dumnego wojewody.

(d. c. n.)



ZŁOTY MROK.

*Pod baldachimem palmy, w ciszy, w cieniu
[kłęczy
Kochanek przy kochance... Białe szaty złocą
Im gwiazdy, co się tulą w mrok... A oni nocą
Obleczeni — w miesiąca przezroczej — pajęczej*

*Muślinowej zastonie słuchają, jak dźwięczy
Harfa nocy, jak tkają z czarodziejską mocą
Słowiki w gajach świętych — a serca trzepocą
W pierściach — płoną, jak kwiaty pod skrzy-
dłami tęczy...*

*Mroku złoty! Nasenny miłości napoju,
W gwiazd kielichach kochankom podawany
w dłonie,
Dłonią Pana! O cześć ci wieczny czarów zdroju!*

*Cześć ci uroku nigdy nie zbadanych rzeczy.
Księgo, z której niebianów dusza treść swą
chłonie,*

Iżby cuda zaświatów tchnąć w żywot człowieczy!

Władysław Zalewski.



BARRY PAIN.

ROSA ROSE.

(Z angielskiego).

— Niech pani teraz odpocznie, — powiedział Sefton, oddalając się od płótna.

Panna Rose, modelka, narzuciła na siebie szal, zeszła z podjum, przeszła przez pracownię i usiadła koło wielkiego pieca.

Sefton kilka chwil siedział bez ruchu, krytycznie oceniając swoje dzieło. Następnie odłożył paletę i pendzle i jął skręcać papierosa.

Był to mężczyzna lat około czterdziestu, przysadzisty, o okrągłej twarzy, z rudawymi wąsikami, dumnie do góry zakreconymi.

Palił papierosa i aż nazbyt długo milczał.

— Dziś kazałem moeno napalić w piecu dla pani, panno Rózo, — rzekł wreszcie.

— Rzeczywiście, — odparła panna Róza.

— Założyłbym się, że jest bliżej 80°, niż 70° *).

*) Farenheita. Przyp. tłum.

W ciężkim, gorącym powietrzu unosił się błękitnawy dym z papierosa, Sefton przypatrywał się mu i obserwował go, jak tworzy kłęby i znika.

Panna Róza zaś rozmyślała: „We wszystkich pracowniach nie można uniknąć przeciągów. Można obficie napalić w piecu, a przy wschodnim wietrze, jak naprzykład dzisiaj, niema dostatecznego ciepła“.

Była ona skończenie piękna. Każdy ruch jej był doskonały. Córka modelki, sama była modelką od lat dziecięcych i sumiennie i dobrze wywiązywała się z zadania. Pewnego dnia, pozując dla znakomitego Meriona, w ciągu trzech godzin pozostawała w jednej pozycji bez odpooczynku. Rzecz prosta, p. Róza, zaliczając się do pierwszorzędných modelek, była bardzo poszukiwana i opłacana. Ale posiadała, jak na modelkę, wielką wadę: była kapryśna i nigdy nie można było być jej pewnym. Zimą, kiedy każda godzina dziennego światła jest tak drogocenna, spóźniała się o godzinę, dwie, a czasem nawet nie przychodziła wcale, choć zdarzało się, że zjawiała się bardzo punktualnie.

Merion dużo przez nią przecierpiał, przysięgał, że nigdy już nie będzie korzystał z jej usług, ale pomimo to, zawsze do niej wracał.

Sefton, puszczając niewielkie kłęby dymu, myślał o pannie Róży; raziła go jej mowa, jako zbyt prosta. Znajdywał, że trudniej mu nawet malować „Afrodytę“, gdy ona mu do niej pozowała. Zdawałoby się mogło, że w tej, tak pięknej postaci, powinna być piękna i poetyczna dusza. Panna Róza Rose zaś nie była ani poetyczna, ani nawet kulturalna. Nie była nawet dobrze wychowana.

Nastąpiło pół godziny usilnej, milczącej pracy, aż wreszcie Sefton oznajmił, że już nie widzi.

— Dostyc na dzisiaj, — rzekł.

Panna Róza Rose znikła za parawanem, a Sefton otworzył okno i obydwa wentylatory i skręcił sobie znów papierosa. W pracowni od razu zrobiło się chłodniej.

— Jutro o dziewiątej, — krzyknął za parawanem.

— To taki kawał drogi, — odpowiedział głos z za parawanu — mogę być tutaj dopiero o kwadrans na dziesiątą.

— Dobrze, — rzekł Sefton, narzucając tużurek.

Gdy Róza Rose wyszła z za parawanu, miała na sobie kostjum z niebieskiego płótna. Ponieważ zajęcie jej wymagało, by zawsze była piękna, nie nosiła ona gorsetu, ani wysokich obcasów, ani wąskich bucików: ofiary, na które modelki rzadko się zdoływają.

— Wiem, panie Sefton, — rzekła — że pan zapłaci po ostatniem pozowaniu, ale...

— Przecież pani pieniądze nie są potrzebne, panno Rózo, o ile mi wiadomo, jest pani zamężna.

— Tak, ale co zarabiam, składam do kasy oszczędnościowej i tego nie chciałabym ruszać. A mam sprawunek załatwić i chciałabym mieć go przed powrotem do domu.

Sefton, ociągając się, wyciągnął woreczek z pieniędzmi.

— No, niech tak będzie, — bąknął.

— Wiem, co pan myśli, panie Sefton: że nie mam zamiaru przyjść jutro. Pewno pan Merion coś panu o mnie nagadał. On zawsze opowiada o mnie niestworzone historie. Ale ja sobie z tego nic nie robię.

— Wszak on panią mnie polecił. Zresztą, powiem pani, co mówił, z warunkiem, że pani tego nie powtórzy. Powiedział zatem, że mogę być szczęśliwym, jeśli pani zechce mi pozować. Ale dobrzeby było łańcuchem przykuć panią do pracowni.

— I wszystko dlatego, że się raz jeden spóźniłam, mając zupełnie słuszny powód ku temu? A zresztą, wszak to jeden raz tylko! A czy nie dodał, jak często musiałam czekać na niego?

— Nie. Ale, doprawdy, będzie pani punktualna? Inaczej trzeba będzie zbyt pośpiesznie pracować.

— Niech pan będzie zupełnie spokojny! — odpowiedziała panna Róża. — Żeby Bóg wie co miało się zdarzyć, będę o kwadrans na dziesiątą. Gdybym nawet umarła, to też przyjdę. Wystarczy to panu? Żegnaj panu i dziękuję, panie Sefton.

— Dowidzenia, panno Różo. Niech pani pozwoli, otworzę pani drzwi, tak ciężko otwierają się z klucza.

Sefton powrócił do swego obrazu.

Nie bacząc na wszystkie zapewnienia panny Róży, nie zupełnie jej ufał, ale kobietom odmawiać nie umiał, a tutaj nie mógł odmówić zapłaty, która słusznie się modelce należała.

Napisał na drzwiach kilka rozporządzeń dla kobiety, która przychodziła co rano sprzątać pracownię. Z jego punktu widzenia, była to wprost drogocenna istota: czyściła pędzle, dobrze paliła w piecu, a gdy trzeba było, umiała wstrzymać się zupełnie od sprzątania.

Ubrawszy się, Sefton wyszedł. Przeszedł krótką drogę od pracowni do swego kawalerskiego mieszkania, gdzie wypił herbatę, przerzucił wieczorną gazetę i pojechał do klubu na obiad. Potem zagrał partję w bilard i powrócił do domu. Obraz, który malował, stał mu wciąż przed oczyma. Chciał wstać wcześniej, więc też zaraz rozebrał się i poszedł spać.

O wpół do dziewiątej był już w pracowni. W piecu już było napalone, dołożył jednak nieco węgla.

Zdawało mu się, że „Afrodyte“ ma drwiący wyraz. Ale to była mała usterka techniczna, która mogła być łatwo poprawiona.

Wziął paletę i wybrał pędzle. Miał jeszcze dożyć czasu, by zejść do narożnej dystrybucji. Na wypadek, gdyby Róża nadeszła podczas jego nieobecności, pozostawił drzwi otwarte. W dystrybucji, gdzie sprzedawali gazety, kupił poranną gazetę. Róża może spóźnić się o jakie dwadzieścia minut, więc przez ten czas będzie czytał.

Ale kiedy wrócił, modelka jego już wchodziła na podjum.

— Dzień dobry, panno Różo, pani dotrzymała słowa, — zawołał.

Odpowiedziała szeptem.

Rzucił papierosa, wziął paletę do ręki i zaczął malować; szło mu znakomicie.

Praca zaabsorbowała go całego. Jakiś czas nie myślał o niczem. Modelka trzymała się dzielnie; nie było po niej poznać najmniejszego zmęczenia. Po godzinnej pracy jednak, żał mu się jej zrobiło:

— No, teraz odpoczniemy trochę, panno Różo, — rzekł wesoło.

W tej chwili uczył na szyi, pod kością potylicową, dotknięcie czyichś zimnych palców. Obrócił się gwałtownie, ale tam nikogo nie było, kiedy spojrzał na podjum, Róża Rose zniknęła.

Ze zwykłą mu starannością odłożył paletę i pędzle.

— Gdzie pani jest, panno Różo? — zapytał.

Chwilę w gorącej pracowni trwało milczenie. Więc zapytał po raz wtóry i — odpowiedzi nie otrzymał. Poszedł więc za przepierzenie i... strach go ogarnął: zrozumiał, że modelki jego wcale dziś nie było.

W pracowni były tylko jedne drzwi, prowadzące na tył ulicy, gdzie pracownia się znajdowała, ale te były zamknięte na klucz od wewnątrz. Otworzył je, włożył kapelusz i wyszedł. Chwilę lub dwie postął na ulicy, rozglądając się na wszystkie strony, ale nikogo nie widział wrócić więc do pracowni.

Usiadł na fotelu, zapalił papierosa i starał się znaleźć możliwe wytłumaczenie tego, co zaszło.

Bezwątpienia, ostatnimi czasy pracował bardzo intensywnie, kiedy wrócił z dystrybucji, był w stanie silnego oczekiwania. Dostatecznie znał psychologję i rozumiał, że w takim razie może się wydawać, że widzi się tego, kogo usilnie się wyczekuje. Nic anormalnego w sobie nie znał i nie był chory, a tem mniej nerwowy. Dawniej nie podobnego nie doświadczał.

Im dłużej analizował ten fakt, tem więcej był zdumiony i przerażony. Zrobił wprost wysiłek i rozwinął gazetę. Był pewny, że dziś już nie będzie mógł pracować. Liczył też i na to, że brukowe pisemko z jego wiadomościami przywróci mu świadomość rzeczywistości.

(Dok. nast.)



INTRUZ.

(Dokończenie.)

Grzywa wędrowca stanęła dębem, wargi rozchyliły się ukazując szereg dużych, białych zębów, ogień zapalił się w jego ślepiach i przez kilka sekund spoglądał w złe, małe, błyszczące oczki łosia. Gotów do boju oczekiwał zaczepki nieprzyjaciela. Po chwili jednakże wielki łos zaczął się odsuwać powoli, niepostrzeżenie, wreszcie zginął w ciemności, pozostawiając ogiera drżącego z niepokoju. Długo jeszcze koń nie ruszał się z miejsca i z bojaźnią spoglądał w czarną gąszcz, oczekując stamtąd zdradzieckiego napadu, wreszcie, gdy zauważył że i łasica zniknęła z horyzontu oblanego smugami księżycy, w przystępie niewytłumaczonego wzruszenia począł się oddalać od jeziora i wspiąwszy się na spadzistą pochyłość znikł wśród boru. Chęć wydostania się z obrębu samotnego jeziora była mu bodźcem. Przepastne lasy stanowiły dlań pustynię, głośny bowiem tętent jego kopyt i barwa krzycząca sprawiały, że wszystko kryło się przed nim. Wreszcie natrafił na ślady jakiejś ścieżki i posłuszny chwilowemu kapryśowi, tędy postanowił podążać. Posuwając się więc bezdźwięcznie po gęstej murawie wśród szelestu gałęzi przekonywał się, że bór nie jest tak pusty jak mu się zdawało. Wśród ciemności słyszał drobne szepty, piski i poszumy. Nie raz króliki stapały tuż obok niego, to znowu lis go wyprzedzał, przyglądając się od niechęcenia wielkiemu białemu cudzoziemcowi. Od czasu do czasu miały go drobne jakieś zwierzątka, a za każdym razem nieprzyjemna woń drażniła wrażliwe jego nozdrza. Zdawało się, że szeroko-skrzydłe stworzenia opierały się o niego znie-nacka. Wówczas wstrząsał się cały! To znowu rozpaczliwe dochodziły go dźwięki, warczenie, pomruki, lub głuche odgłosy walki.

Więc zbacział z drogi, pragnąc wysledzić co się stało, nigdy atoli niczego się nie dowiedział i po krótkim wahaniu znowu powracał na trakt właściwy. Pomimo tych wszystkich przeszkód godziny upływały szybko i kiedy lekkie zarysy jutrzni ogarnęły świat przed wzrokiem konia zamajaczyły dwie niskie budy pomiędzy drzewami.

Ogier zarżał radośnie, nieprzytomny niemal ze szczęścia i galopem rzucił się w najbliższe wrota, a podkowy jego obijały się niemal o stopy wiórów, którymi zasłane było podwórze. Gdy rozwarł drzwi na wpół uchylone i wdarł się do środka—ujrzał ku wielkiemu rozczarowaniu mroczne wnętrze, piec, długą ławę, oraz szereg skrzyń wzdłuż ściany. Wyziwy ludzkie unosiły się jeszcze wśród pak, podczas gdy wszystko inne tchnęło pustką. Ze zwieszonym smutno łbem koń przeszedł do drugiej budowli, zarzuconej kłocami.

Była to dawna stajnia, domyślił się tego na widok mnogich, niewątpliwych znaków, a choć

czuł, że obecnie nie ma tam koni, jednakże wściбіł nozdrza swoje, chcąc się przekonać czy woń właściwa jego gatunkowi jeszcze się tam unosi. Atoli odór, który go uderzył na wstępie, był najzupełniej różny i wcale mu nieznan, nie kłamaną też napełnił go odrazą. Cofnął się też zrazu, gnany jednakże ciekawością ponownie zajrzał wgląd. Teraz spostrzegł, że wielki czarny cień zwraca się ku niemu. Podskoczywszy, począł dotkliwie okładać wroga kopytami i jak szalony wybiegł z szałas. Niedźwiedź (bo był nim ów nieznajomy) otrzymał silne cięgi, niezdolny ruszyć się z bólu, stał ciągle jeszcze u wrót, kaszląc ochryple, podczas gdy ogier przebiegł z jakie dwadzieścia łokci wśród wiórów i zatrzymał się również.

Razy uszkodziły żebra niedźwiedzia, nie pozabawiły go jednak zdolności do walki. Zajadł się szykował do zemsty na intruzie, który zadał mu tak dotkliwe szturchańce.

Ogier atoli nie był w wojowniczym usposobieniu i przestraszony tajemniczą napaścią w pomrokach stajni, nastrojem swoim przypominał dziecię, obawiające się duchów. Nietylko niedźwiedź, ale wogóle miejsce go przerażało. Puścił się też galopem po przez polankę, szczęśliwym trafem dążąc w kierunku osady drwala i ukrył się w gąszczu leśnym.

Pędził już tak kilka mil, poczem zwolnił biegu. Droga była bardziej szeroka i jasna, aniżeli szlak który zawiódł go do budy, piękna też trawa strzelała wokół, dostarczając mu dobrej paszy. Nie pozwałał sobie jednak na żaden dłuższy odpoczynek, miotał nim niepokój gwałtowny i popychał do biegu.

Tymczasem słońce wzbilo się wysoko, a cienie starych jodeł krótkie były i błyszczące. I nagle skończył się las.

Zdała widać było jasną powierzchnię jeziora. Lecz to nie piękno toni zatrzymywało oko jego. Odtąd droga spuszczała się na łąki i pola do małej osady. Białe dachy domów i wieżyczka kościółka zapaliły radością jego ślepi. Większem atoli szczęściem napełnił go niespodziewany widok dwóch klaczy i małego kucyka, wyglądających z za sztachet. Podniósłszy do góry ogon i grzywę oddał im swoje pozdrowienie. W odpowiedzi rozległo się długie, powitalne rżenie. Teraz ogier puścił się w cwał, w dzi kim galopie, przesadzając ogrodzenie.

Gdy w kilka godzin później farmer kanadyjski, francuz rodem nadszedł aby poprowadzić klacze swoje do wody, ze zdziwieniem i rozkoszą ujrział się panem wspaniałego białego ogiera, który obwąchiwał go radośnie, łasił się doń i zachowywał się względem niego tak, jak zwykł zachowywać się wierny pies względem swojego chlebodawcy.

Przełożyła A. Z.

